



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartał. 5 marek.

EDGAR ALLAN POE.

W d. 7 Października r. b. przypadała pięćdziesiąta rocznica zgonu amerykańskiego poety, który nietylko w młodej literaturze swego kraju wznosił się na najwyższe szczyty, lecz i od pewnego czasu trzyma pod berłem budzący się w Europie, wśród najmłodszego pokolenia, ruch piśmienniczy. Krótkie jego życie, opromienione u zachodu blaskiem sławy, której łuna ogarnia dziś obie półkule świata, było nad wszelki wyraz nieszczęśliwe. Niewątpliwie przyczynił się do tego w znacznym stopniu słaby charakter poety, niepozwalający zapanować nad wrodzonymi skłonnościami; tej łagodzącej okoliczności nie uwzględniało wielu biografów poety, jaknajpochopniej z dobrą wiarą przyjmujących złośliwe plotki, które uwłaczają jego pamięci. Dopiero John H. Ingram, autor najlepszego życiorysu poety, oczyścił zachwaszczoną niwę, prawdę od fałszu oddzielając i wykazał, że źródłem największego nieszczęścia, od którego poeta nigdy uwolnić się nie mógł, była choroba nurtująca w jego organizmie. Opierając się na tej bezstronnej pracy przedewszystkiem zapoznamy czytelnika z dziejami życia poety.

Edgar Allan Poe pochodził ze starożytnego normandzkiego rodu, niegdys osiadłego w Irlandji i wyróżniającego się oddawna zarówno duchowemi, jak i fizycznymi przymiotami. Dopiero pradziad poety wyemigrował do Ameryki. Ojciec jego poróżnił się z całą swą rodziną, należąca do najznakomitszych w kraju, porzucając studia prawne dla posłubienia pięknej aktorki i przez miłość dla niej sam wstąpił na scenę.

Oboje rodzice w młodym wieku i prawie w jednym czasie pomarli, a czeroletnim naówczas Edgarem (urodzonym w d. 19 Lutego w Baltimore) zaopiekował się ojciec jego chrzestny, Mr. Allan, zamożny, bezdzietny kupiec z Baltimore, który pięknego, nad wiek rozwiniętego chłopca umieścił w swoim domu, jak ładny sprzęt służący do ozdoby salonu. A właśnie na salony Mr. Allana uczęszczali liczni goście, którzy z podziwem słuchali małego Allana deklamującego wiersze, psując go tym sposobem, co się korzystnie na rozwoju jego charakteru odbić nie mogło, a na co poeta w następstwie sam niejednokrotnie się uskarżał.

W r. 1816 małżonkowie Allan zwiedzili Anglię i Szkocję, zabierając ze sobą wychowanka. Przy tej sposobności umieszczono go w zakładzie wychowawczym w pobliżu Londynu, gdzie przeżył pięć szczęśliwych lat. Starożytny gmach, w którym szkoła miała pomieszczenie, dobroczynnie oddziaływał na fantazję chłopca, podczas gdy umysł jego znajdował potrzebną karm w doskonałych wykładach. W owym instytucie Poe zdobył to klasyczne wykształcenie, które go tak korzystnie wyróżnia wśród amerykańskich autorów i poezjom jego nadaje godną podziwu doskonałość formy. Dopiero w r. 1826 powrócił chłopiec do Ameryki i po krótkim pobycie w domu opiekunów wstąpił do wyższej szkoły w Richmondzie. Z tych właśnie czasów przechował Poe wspomnienie dowodzące, jak jego miękkie spragnione miłości serce spotykało niewiele tego serdecznego ciepła, do którego zawsze tak tęskniło. Pewnego dnia odwiedził Edgar swego szkolnego kolegę i ujrzał po raz pierwszy jego matkę, majestatycznej urody, która, podając mu rękę przemówiła słodkim głosem parę uprzejmych słów przywitania. Znienacka jej pojawieniem się zaskoczony stał chłopiec przed jej obliczem oniemiały, nieprzytomny i powrócił do swego mieszkania śniący

na jawie, palony gorącym pragnieniem przeżycia po raz wtóry czegoś podobnego. Odtąd kobieta ta stała się zaufaną powiernicą wszystkich drgnień jego młodego serca, — ale zawistny los zawczasie mu ją odebrał. W krótko potem umarła, złamana nieszczęściem. Opowiadają, że Poe po odejściu od niego tej niezapomnianej przyjaciółki dni młodocianych, czuł się tak nieszczęśliwym i opuszczonym, że przez długi czas nie bacząc na jesienne i zimowe zawieje, wśród nocy odwiedzał grób jej samotny i wtedy to już prawdopodobnie zapadły mu w duszę związki owej posępnej zasnutej cieniem śmierci fantazyi, która w dziełach jego lat dojrzałych taki w nas podziw obudza.

Jako uczeń wyróżniał się Poe niepospolitemi zdolnościami, pięknnością i przyrodzonym darem opowiadania. Pomijając znajomość klasycznych języków, którą w wysokim stopniu posiadał, podnoszono jego postępy w matematyce i naukach przyrodniczych. Został następnie studentem w wirginijskim uniwersytecie w Charlottesville i tam podobnie wyróżniał się w pracy umysłowej i we wszelkiego rodzaju sportach. Był np. niestrudzonym pływakiem. Niestety jego zapalny temperament nie mógł się oprzeć zewnętrznym złym wpływom i jakkolwiek ci, którzy z nim naówczas obcowali, starali się go powstrzymać od kieliszka, był już wtedy zapalonym graczem i tak wiele pieniędzy w grze marnował, że opiekun jego, nie liczący się z resztą z groszem, stracił wreszcie cierpliwość. Wbrew jego woli wybrał się Poe w r. 1827 do Europy, dla przyjęcia udziału jako ochotnik w walce greków z Turkami o wyzwolenie się z pod ich jarzma. Szedł za przykładem Byrona, to też gdy się w drodze dowiedział o jego śmierci, udał się w podróż po Europie; wycieczka ta trwała rok i nie o niej pewnego nie wiadomo, pozatem, że smutnie się skończyła, w Petersburgu bowiem, dotąd się Poe zaawanturował, kon-

sul amerykański musiał go zasilić pieniędzmi dla umożliwienia powrotu do ojczyzny. O ile sądzić można z wzmianki i obrazów, rozsiadanych w dziełach poety, oglądał on na własne oczy Grecję i Włochy, widzimy wszakże z dzieł takich poetów jak Coleridge, Moore, Schiller i Jean Paul do jakiego stopnia pozwoliła im twórcza fantazyja odtwarzać kraje, których nigdy nie zwiedzali.

Poe powrócił więc w r. 1829 do swego opiekuna, który podczas jego nieobecności utracił małżonkę. Zawsze wywierała ona dobroczynny wpływ na męża swojego i przybrany ich syn miał się niebawem dopiero przekonać, jak wiele z śmiercią jej utracił. Tymczasem obrał on sobie karierę wojskową i przy pomocy Mr. Allana wstąpił do wojennej szkoły w West-Point, ogłoszwszy przedtem pierwszy tomik swych wierszy, który przeszedł bez śladu.

Jak to łatwo można było przewidzieć, niespokojny duch Poego nie mógł się poddać twardeму jarzmu karności wojskowej, aczkolwiek z początku szczerą miał chęć po temu. Już w r. 1831 został on wydalony z West-Point za zaniedbywanie obowiązków i brak karności i ujrzał się zmuszonym do powrotu do domu opiekuna, lubo się tam przyjaznego przyjęcia nie spodziewał. Mr. Allan odmówił mu pomocy pieniężnej, uniemożliwiając tem samem poecie posłubienie młodego dziewczęcia, z którym ten się zaręczył; nastąpił szereg gwałtownych scen, po których Poe postanowił wyjechać do Polski i wstąpić w szeregi wojsk rewolucyjnych. Choć upadek Warszawy zamiar ten udaremnił i tak deszło do zupełnego zerwania stosunków pomiędzy nim, a opiekunem, który w tym czasie ożenił się z młodą dziewczęcią, Poe o tem małżeństwie, w którym zachodziła znaczna różnica wieku, odzywał się tak niewłaściwie, że mu Mr. Allan swój dom raz na zawsze wymówił i umierając w r. 1834 nie zapisał mu ani grosza.

Poecie pozostało jedyne źródło do życia i sławy — literacka jego twórczość — atoli droga po której zmuszony był stąpać obficie była cierniami zasłana. Wreszcie zaświeciła mu gwiazda szczęścia — lecz na czas niedługi. W r. 1833 jedno z pism w Baltimore ogłosiło konkurs na nowelę i poemat. Obie nagrody komitet konkursowy jednogłośnie przysądził Poemu, który nadesłał sześć opowiadań do wyboru; za najlepsze z nich uznano *Rękopis w butelce ukryty*. Do tak korzystnego dla poety wyniku konkursu, przyczynił się w znaczniejszym stopniu, niż by to przypuszczać można było, piękny i wyraźny charakter jego pisma.

Jeden z sędziów konkursowych Mr. Kennedy, będący sam zdolnym pisarzem; zainteresował się zupełnie dotychczas nieznanym mu autorem i zaprosił go na obiad do swego domu. Poe, który dla braku odpowiedniego ubrania, nie mógł skorzystać z zaproszenia, ujrzał się zmuszonym opowiedzieć Kennedemu o nędzy ostatecznej, w jakiej się znajduje i otrzymał od niego zasiłek udzielony w jaknajdelikatniejszej formie. Zawdzięczając to jego rekomendacji, w krótko potem otrzymał stałe współpracownictwo w jednym z wychodzących w Richmondzie pism literackich, któremu właśnie jego artykuły w krótkim czasie szerokie zjednały rozpowszechnienie. Przy regularnej pracy, zapewnijającej mu w dostatecznym stopniu utrzymanie, Poe mógł się być czuć zupełnie spokojnym i zadowolonym, gdyby nie drażliwe, od chwilowego nastroju zawisłe jego usposobienie, stanowiące zwykle charakterystyczną cechę poetów. W każdym razie okres ten uważać należy za najszczęśliwszy w życiu Poego, do czego i to się przyczyniło, że znalazł domowe ognisko u ciotki swojej pani Clemm. W krótko potem zaślubił młodą jej córkę Wirginię i obie kobiety ze wzruszającą troskliwością dbały o to, aby na niczem nie zbywało ukochanemu przez nich poecie, który tak opieki tej potrzebował, będąc w rzeczach tego świata niezaradnym dzieckiem. Niestety, anielskiej piękności żona jego już naówczas nosiła w sobie zarodek suchoty, tak, że kochający małżonek nigdy się nie mógł nacieszyć

jej posiadaniem w zupełnym spokoju i pewnością.

Dla powiększenia dochodów Poe objął w r. 1837 kierownictwo literacko-krytycznego pisma w New-Yorku, a po roku w Baltimore. Była to w ogóle naówczas pora nie sprzyjająca tego rodzaju wydawnictwom i Poe dla zadość uczynienia domowym potrzebom swojej rodziny, musiał nad siły pracować i to nieraz w kierunkach, nie mających nic wspólnego z przyrodzonym jego geniuszem. Owe oryginalne fantastyczne płody jego ducha, w których przejawia się cała potęga jego poetyckiej twórczości stosunkowo słabym odbijały się echem wśród jego praktycznych ziomków, zajętych interesami i walką o byt. Były one już naówczas więcej cenione w Anglii, — niestety nie przynosiło mu to żadnych korzyści materialnych, podobnie jak liczne francuzkie przekłady, które we Francji wielkie znalazły rozpowszechnienie, tak jak i opowiadania E. T. A. Hoffmana, któremu Poe bez wątpienia nie jedną zawdzięcza pobudkę, znał je bowiem, podobnie jak dzieła Tiecka, Novalisa i wielu innych romantyków niemieckich.

W owych czasach niewielu amerykańców zdawało sobie dokładnie sprawę z tego, jaki olbrzymi talent pojawił się w ich piśmiennictwie w osobie Poego, Wiersze jego musiały być wtedy *kawionem dla narodu*, jak je trafnie określa jeden z krytyków, lecz i jego pisma prozą, aczkolwiek obejmowały szerokie sfery, nie mogły znaleźć należącego im się uznania. Hoffmann posiadał więcej humoru od Poego, w którego opowiadaniach dzięki temu przeważa dziki fantastyczny, zgrozą przejmujący element — i to jest powodem, że pisma jego nie cieszyły się taką popularnością. A warunki w jakich naówczas żył aż za dobrze sprzyjały rozwinięciu się w nim przyrodzonej skłonności do melancholii. Przez długi szereg lat najgorętszym jego pragnieniem było założenie własnego pisma, lecz stanął temu na przeszkodzie brak praktycznego zmysłu u poety; usiłowania jego nigdy nie znajdowały poparcia u publiczności, co go zmuszało do sprzedawania plonów swej pracy wydawcom za nędzne wynagrodzenie. Przytem krytyczne jego rozbiory dziś już zapomnianych, mających jednodniową wartość utworów, w istocie nie zasługujących na to, ażeby się nimi duch tej miary zajmował, tworzyły mu całe zastępy osobistych nieprzyjaciół. Zresztą krytyka Poego, aczkolwiek surowa, zawsze słuszną była. Dotknięta próżność rozmaitych dlibirymów nie odrzucała najniegodziwszych środków, ażeby się móżdżem zemścić. Roztrząsano jego życie prywatne i zasypywano go kalumniami do tego stopnia, że Poe zmuszony był raz wystąpić sądowo przeciw pismu, które go obrzuciło oszczerstwami, za co też zostało skazane na zapłacenie znacznego odszkodowania. Ale poeta nie miał środka na z pobieżenie niekczemnym anonimowym listom, które zatrwały ostatnie lata jego młodej małżonki, a może i śmierć jej przyspieszyły. Zamieszkiwali naówczas oboje na wsi w okolicy New-Yorku. W pięknym ogrodzie Poe hodował ulubione kwiaty swoje i utrzymywał całą menażeryę zwierząt, które lubił od dzieciństwa, co zresztą widzimy z jego opowiadania *Czarny kot*.

Wirginia Poe była na śmierć skazaną; najtkliwsza opieka małżonka oraz matka nie była w stanie powstrzymać niszczących postępów choroby. Męcząca obawa o los najdroższej istoty pozabawiała poetę sił do pracy, to też nędza zająrzała niebawem pod ich strzechę — a Poe, dumą powodowany nie chciał przyznać się do tego przed nie wielu przyjaciółmi, którzy z nim obcowali. Jednak wieść o tem dostała się do prassy, a jeden z najznakomitszych ówczesnych autorów Parker Willis w redagowanym przez siebie piśmie ogłosił, że obowiązkiem Ameryki jest obronić przed niedostatkiem swoich poetów, zakładając ku temu celowi instytut podobny do fundacji im. Schillera w Niemczech. Wezwanie to nie przebrzmiało bez echa. Z pobliza i z od dali od przyjaciół swych i wielbicieli otrzymał Poe zasiłki, które niestety przysły już

za późno dla ukochanej jego małżonki — zgasła bowiem w początku 1847 r.

Wyrazem głębokiej rozpaczki osieroczonego małżonka są jego najpiękniejsze porywające poezje: *Anabel Lee*, *Ulalume* i w. in., które mi w sercach kobiecych Poe zapisał się na zawsze.

Z drugiej wszakże strony w owych czasach, kiedy rozdzierający ból szarpał mu duszę, poeta przyzwyczaił się do używania narkotyków. Rozdrażnienie nerwów spowodowane nieustannem prawie czuwaniem przy łożu drogiej chorej na długi czas po jej śmierci pozabawiło go snu, który i bez tego nigdy nie był dla Poego po krzepiającym, torturował bowiem jego wyobraźnię straszny męczącymi snami.

To też nie dziw, że poeta starał się w sztucznie wywołanem odurzeniu szukać zapomnienia. Po opamiętaniu się zdawał sobie jasno sprawę ze szkodliwości tego nalogu i walcząc sam z sobą nieraz przyzwyczajenie na czas pewien przewyciężał.

Godną uwagi jest następująca odpowiedź Poego na artykuł jednego z pism, wciągający jego życie prywatne w szranki polemiki literackiej:

„Nie można przynajmniej twierdzić, że byłem kiedykolwiek tak obłudny, bym się wypierał błędów moich i przewinień, o które sam siebie oskarżam. Nigdy nie próbowałem zmniejszyć słabości, która jest (albo dzięki Bogu! — była) mojem nieszczęściem i którą wszyscy ci, co mnie bliżej nie znają, ze zbrodnią mi uważali. A jednak, gdyby mi na to duma moja pozwalała, wyszłoby niejedno — a nawet wszystko — to na jaw, co by musiało zmniejszyć moją winę. Mogłbym przedstawić nawet świadectwo lekarskie, jeżeliby tego dowodu publiczność odemnie wymagała, że niemal wszystko to o co mnie oskarżają było następstwem strasznych nieszczęść.”

Jeżeli zestawimy z temi słowami, poety wzruszające obrazy symptomatów choroby, odtworzone w wierszu *do Annie* i przypomnimy sobie, że Poe cierpiał na hypertrofię serca — to będziemy bliżcy rozwiązaniu zagadki. Tajemnicze to cierpienie dopiero w ostatnich czasach należycie przez lekarzy zbadanem zostało; polegający mu cierpią najczęściej niedające się niczem zgasić pragnienie; wielu tych, których uważano za nalogowych pijaków, zasługiwało raczej na współczucie aniżeli na potępienie. Poe, od natury obdarzony nerwową, wrażliwą organizacją, tracił przytomność po użyciu dziesiątej części tej ilości alkoholu, którąby za ledwie wystarczającą mogła do zbitcia z nóg normalnego człowieka.

(Dokończenie nastąpi).

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg.)

VII.

Władysław wracał od Bronieckich ogromnie wzburzony i podniecony... W pierwszej chwili miał tylko wrażenie jakiegoś ucisku i głębokiego niesmaku i czuł, że popełnił lekkomyślne głupstwo, które będzie obfite w przykre następstwa. W wirze sprzecznych myśli i uczuć nie mógł na razie myśleć jasno ani, zorientować się dokładnie w sytuacji, bądź co bądź bardzo fałszywej i przykłej.

Wszakże, przeszedłszy szybko parę ulic, poczuł, że świeżość nocy i samotność działa na

niego otrzeźwiająco, i że powraca mu zdolność jasnego myślenia. Począł więc zastanawiać się nad tem, co się stało i rozmyślać, co mu teraz czynić wypada.

— Rzecz jasna—monologował sam ze sobą—że potem, co się stało, nie może dłużej pracować u Bronieckiego.

Lecz zaraz przyszło mu na myśl, że w takim razie pozostanie znów bez zajęcia, że więc cały ten czas będzie stracony i zmarnowany na próżno i że trzeba będzie zaczynać na nowo od poszukiwania pracy. Wiedział już z doświadczenia własnego, że było to rzeczą niełatwą—uczuł więc wewnętrzny ucisk i przygnębienie.

Starał się wszelako niepoddać się mu i otrząsnąć się z tego stanu jaknajprędzej. Pomyślał sobie, że przecie nie jeden Broniecki w całej Warszawie, że jest wielu innych adwokatów, przy których może mu się uda wyszukać zajęcie.

Pozostało więc powziąć postanowienie co do zerwania z dawnym pryncypałem.

— Jutro jeszcze będę u Bronieckiego, rozmówię się z nim, zwrócę mu akta i złożę z siebie obowiązek—powiedział sobie w końcu.

I zaraz uczyniło mu się lżej na duszy. Była to jedyna i najprostsza droga, chociaż wiedział, że nie najprzyjemniejsza.

Powrócił do domu, i, zasypiając dość późno, myślał, że jednak podejrzenia Tadeusza nie były może zbyt dalekie od prawdy.

Nazajutrz miał Władysław w istocie bardzo przykrą rozmowę z Bronieckim, po której, zostawwszy się z mecenasem i wyszedłszy na ulicę, odetchnął z poczuciem ulgi:

— No, przynajmniej już jestem wolny—pomyślał.

Lecz co teraz czynić należało?

Przedewszystkiem powrócił do domu i napisał list do ojca, aby go powiadomić, że chwilowo został bez zajęcia i dopóki nie znajdzie nowego jest zmuszony znów korzystać z jego pomocy.

Następnie, postanowił napisać o tem i do Zosi. Wahał się czy ma wyjawiać jej rzeczywisty powód, który go skłonił do zerwania z Bronieckim, czy go zataić. Tak mu jednak chodziło o to, aby duchowa ich łączność była zupełną, aby nie mieć nigdy żadnych przed nią tajemnic, że postanowił przyznać się jej do wszystkiego. Miał nadzieję, że mu przebaczy chwilowe zapomnienie się, tem bardziej, że sercem nie sprzeniewierzył się jej ani na chwilę. Odłożył więc tylko to wyznanie do osobistego widzenia się z Zosią, wiedząc, że w podobnych razach listowne tłumaczenie się jest trudniejszym.

Wysławszy oba te listy, zaczął oglądać się za jakimkolwiek zajęciem. Wiedział, że nie mając żadnych prawie stosunków, znalezienie jakiegokolwiek bądź posady było rzeczą arcytrudną, postanowił jednak sobie nie szczędzić wysiłków i zabiegów i miał nadzieję, że starania jego zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Tymczasem poszedł do Stanisława, którego już od paru dni nie odwiedzał, opowiedzieć mu wszystko, co zaszło i zapytać o radę.

Zastał go w podnieconem usposobieniu, obraz bowiem, który miał mu zapewnić możność wyjazdu do Brazylii, był już niemal na ukończeniu, więc młodzieniec pracował teraz z podwójną gorączkowością.

Słuchał słów Władysława, nie przestając narzucać na płótno penszlem kolory, odsuwając się co chwila i przechylając głowę, aby w lepszym oświetleniu przypatrzeć się obrazowi, — aż, gdy Władysław opowiedział mu wszystko i zapytał o radę, spojrział na niego jak zbudzony ze snu i rzekł nagle:

— Jedź ze mną do Brazylii!

Tamten zaś spojrział na niego zdumiony:

— Czyś oszalał? zapytał wzburzoną nieco głosem.

Lecz Stanisław zajął się już cały jakimś szczegółem obrazu i jak gdyby przestał zwracać uwagę na przyjaciela.

Zaczęły się więc dla Władysława dni smutne i ciężkie, jakich nie przeżywał dotąd nigdy, pełne troski o wyszukanie stosownego dla sie-

bie zajęcia, pełne przygnębienia, które owładnęło jego duszą w miarę coraz nowych zawodów i trudności. Był u paru osób, które miały jakie takie stosunki, lecz te zbyły go nieokreślonymi przyrzeczeniami na przyszłość. Widział się z kilku kolegami, którzy też pracowali u adwokatów, pytał ich, czyby który z ich pryncypałów nie przyjął go za pomocnika, lecz tamci odpowiadali, że—o ile wiedzą—nigdzie niema do zajęcia posady. Wszakże Władysław postanowił tem się niezrażać i był osobiście u tych adwokatów, lecz wkrótce sam się przekonał o prawdziwości słów swoich kolegów. Nie tylko bowiem żaden z adwokatów nie potrzebował na razie pomocnika, lecz nawet na przyszłość nie nie przyrzekał.

Inne udręczenia, które w owym czasie przychodziły, nawiedzać go coraz częściej, były treści bardziej wewnętrznej. Oto myśl o tem, że się zapomniał na chwilę przy panie Klarze i obraził tem ukochany obraz Zosi, który nosił w duszy jak świętość jaką, przychodziła mu jako wyrzut coraz dolegliwszy i bolesniejszy. Naprawdę powtarzał sobie wówczas, że nawet w chwili owego pocałunku pozostał całem sercem wierny Zosi, że nie było to żadne sprzeniewierzenie się i że Zosia, dowiedziawszy się całej prawdy, przebaczy mu to i zapomni—z tem wszystkim ogarniał go żal coraz większy, coraz bardziej dojmujący smutek, więc myślał z upragnieniem o tej chwili, kiedy będzie mógł z rzucić już z siebie ten ciężar, wyznać otwarcie wszystko przed Zosią i usłyszeć z jej ust, że mu przebacza.

Nadomiar wszystkiego po cichych, pogodnych dniach jesieni rozpoczęły się już dni słotne i chmurne, musiał więc z konieczności zaprzestać owych przechadzek i wycieczek zamieszkich, które tak dodatnio oddziaływały na jego usposobienie i zapełniały mu czas wolny od zajęć. Teraz zaś wolnego czasu miał pełno i wprost niewiedział co z nim zrobić. Jeszcze dzień jako tako mu schodził, zrana bowiem trochę czytał, potem wychodził na obiad, ale o piątej już padał zmierzch i pozostawało mu kilka godzin ogromnie samotnych i czezych, długi wieczór jesienny, w który nuda, niby widmo natrętne, počęło coraz częściej wychodzić z kątów jego pokoiku. Kiedy niekiedy szedł do teatru, lecz częściej pozostawał u siebie, nie mając znajomych domów rodzinnych i nie czując zresztą żadnej do wizyt ochoty. Z kolegami może spotkałby się gdzie w knajpie, ale tych postanowił unikać.

Pewnego wieczoru, gdy próżno rozmyślał nad tem, czem by czas zabić, przyszedł mu nagle na myśl Waclaw i jego zaproszenie do odwiedzenia go, z którego dotąd nie skorzystał.

— Pójdę do nich — powiedział sobie natychmiast, i począł szukać biletu kolegi, na którym był wskazany jego adres.

Bilet odnalazł się i w półgodziny potem Władysław dzwonił do mieszkania Waclawa.

Była to niedziela i trafił niespodzianie na zebranie kilku dawniejszych kolegów szkolnych.

Był tu więc i Henryk Bogacki, i Jaś Karwacki, przezwany „Mecenaskiem“, i Tadeusz, zagrzały demokrat i kilku innych.

Waclaw uściśnął serdecznie rękę gościa, tamci zaś, ujrawszy wchodzącego Władysława, počęły witać go okrzykami wesela:

— A Władek! Władek! Gdzieżeś dotąd przepadał? Co się z tobą dzieje?

Lecz tymczasem Waclaw przedstawił go swojej żonie, młodej, przystojnej blondynce, która mu rzekła z prostotą:

— Waclaw wspominał mi, że już dawno prosił pana do nas, ale pan długo był na nas nie laskaw.

Następnie wzięto go w środek grona i zaczęto wypytywać, co porabiał dotąd, w jaki sposób urządził sobie obecne życie.

A jemu, gdy się usadowił na kanapce przed stołem, na którym obok lampy kipiał parujący samowar, z którego właśnie młoda gospodyni zaczęła własnoręcznie nalewać herbatę i podawać filiżanki gościom, — zrobiło się jakoś ogromnie zacisznie w tem kółku dawnych kolegów.

Było to wrażenie, jakiego nie doznawał już od dawna w swem samotniczym życiu, podobne niemal do tego, jakie czyniły na niem ciche wieczory w domu albo w Orzeszkowcach.

Zrozumiał więc, że w ten dobroczynny sposób oddziaływa na niego czysta i zaciszna atmosfera rodzinnego życia.

Przez cały wieczór czuł się jakoś weselszym i zupełnie swobodnym. Mówił wprawdzie mało a więcej przysłuchiwał się rozmowom kolegów, w których tamci w sposób żartobliwy i wesoly powierzali sobie nawzajem troski, jakie co krok spotykały się na wstępie do samodzielnego życia. Widać jednak było, że nie wiele sobie robią z tych trudności życiowych i że w ogóle dość ufaie patrzą w przyszłość.

Żywo też przyjęli do serca kłopoty Władysława, w które popadł z powodu braku odpowiedniego zajęcia, i zaraz zaczęli wszyscy obmyślać, jakby temu zaradzić. Wszakże, nie tylko oni, ale nawet poważny i zaradczy Waclaw nie umiał na razie podać Władysławowi żadnej rady.

On zaś przez cały wieczór uważał na młodą gospodynię i na Waclawa, pragnąc własnymi oczami przekonać się, jak to wygląda domowe życie tych dwojga młodych, o których zresztą wiedział, że kochają się szczerze. Nie mógł więc niedostrzedz, że młoda gospodyni, pomimo gościnności, którą starała się otoczyć swych gości, zwracała się nieraz do męża z jakimś pytaniem lub uwagą, czynioną z cicha, i tyle przytem było troskliwości i tkliwej dobroci w jej postaci, mąż jej był też tak zawsze na nią uważny i czujny na każde jej słowo zwrócone ku niemu, że Władysław przekonał się wkrótce, ile harmonii i cichego szczęścia wypełnia życie tych młodych małżonków.

Więc zaczęło zaraz serce tęsknić i rwać się do ukochanej dziewczyny, czując to, że ona zgotowałaby mu szczęście podobne, albo pełniejsze jeszcze od tego.

Przypomniał też sobie w tej chwili, że już dość dawno nie miał listu od Zosi i że dręczyło go to i smuciło już od dni kilku. I nagle zdało mu się, że ten z takim upragnieniem oczekiwany liścik przyjdzie napewno dziś, że za powrotem do domu zastanie go na stole. Pewność ta była tak wielka i tak dlań nęcąca, że gotów był zaraz pożegnać gościnnych gospodarzy i kolegów i wracać do domu, aby przyspieszyć tę chwilę szczęścia, jakie mu zawsze sprawiały listy od Zosi.

Wstrzymał się wszakże, zauważył bowiem, że już i inni mają się ku wyjściu. Było jeszcze dość wcześnie, ale młodzi prawnicy byli z takim szacunkiem dla domu kolegi, że nie chcieli zasiadywać się późno w noc, jakby to uczynili w mieszkaniu kawalerskim którego z nich, zaczęli się więc wkrótce żegnać, a razem z nimi wyszedł i Władysław.

Na ulicy otoczył ich zaraz ruch gorączkowy, tem większy, że deszcz, który cały dzień padał, ustał pod wieczór i niebo błyszczało gwiazdami. Spać było jeszcze zawcześnie, więc któryś z nich zaproponował:

— No, a teraz pójdziemy do „Wodewilu“, chłopcy — „czy, pod Gwiazdę?“

— Do Wodewilu—bo bliżej — odpowiedział drugi.

Władysław počął się żegnać.

— Władku, a ty dokąd?—Zapytał Henryk—Nie idziesz z nami?

— Nie, wracam do domu.

— Ależ daj spokój—przerwał mu „Mecenasek“ — Cóżto? razem z kurami idziesz spać? Chodźże! przy piwku pogawędzimy z sobą i przypomnimy dawne biby.

— Naturalnie, że idziesz z nami — rzekł Tadeusz, biorąc go pod ramię.

Lecz Władysław oparł się stanowczo:

— Nie, daję słowo, nie—dziś nie mogę. Może kiedy innym razem... Muszę być u siebie—mam zajęcie...

— No, to kończ—że je i przychodź—choćby o dwunastej, będziemy w Wodewilu.

Uściśnął ręce przyjaciółom i był już na przeciwnym chodniku.

Czuł wprawdzie, że w wesołym gronie kolegów mógłby spędzić przyjemnie resztę wieczoru, ale postanowił sobie do knajp nie chodzić. Zresztą śpieszno mu było do domu, gdzie prawie pewien był, że zastanie list od Zosi.

— Gdyby była odpisała nazajutrz po otrzymaniu mego listu, to jej list byłby tu już w poniedziałek—wylizwał w drodze, idąc ulicą—widocznie, że odpisała mi następną pocztą we czwartek—więc dziś z pewnością list będzie.

Serce mu uderzyło żywiej. Przyspieszył kroku.

Wszedłszy do swego pokoju, zapalił świecę i spojrzął na stół. Listu nie było.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Po chwili wszedł służący chłopak.

— Listonosz był?

— Był, proszę pana,—przyniósł listy dla państwa.

— A dla mnie nie było?

— Widać, że nie było, bo by mi oddał, jak zwykle.

Władysław odprawił chłopaka. Tak więc nadzieja go zawiodła—listu niema.

A przecież on oczekiwał go z takim upragnieniem, z taką niecierpliwością!... Zawsze każdy list od Zosi pokrzepiał go i rozweselał przez dni parę, odczytywał go bowiem po kilka razy. Teraz zaś—w obecnym stanie przygnębienia—list od niej był wrodźnię pożądanym, on jeden bowiem mógł wrócić mu wewnętrzna równowagę i spokój, którego teraz tak bardzo potrzeba mu było... I nie przybył!... Nie odpisała!... A wszakże już dawno doszedł ją jego list ostatni—to już prawie trzy tygodnie!...

Takie to myśli przewijały się Władysławowi sprowadzając do jego duszy coraz większy i coraz to dolegliwszy smutek. Usiadł na krześle i powiódł wzrokiem po ciemnych, pustych ścianach swego pokoiku, na które padał słaby tylko blask od lampy—i wydały mu się one jeszcze bardziej ciemne i puste, niż zwykle. A jednak nie tak dawne wieczory, kiedy te ściany i ten cały pokój wydawał się jemu weselszy, a on całe godziny spędzał przy listach Zosi, cały oddany uroczym wspomnieniom lub promiennym marzeniom przyszłości... Wówczas tych marzeń tęcze rozjaśniały mu ściany pokoiku, czyniły je weselszemi i niby uśmiechniętymi, jak pocziwe twarze dobrych naszych znajomych.

Lecz teraz listu od Zosi nie było i zawód obłókl cieniem i smutkiem te ściany. Z mrocznych kątów zaczynało wyglądać widmo nudy, a posępna cisza, zamiast sprzyjać dumaniom, przynosiła mu czczością umysł i duszę.

Zerwał się z krzesła, przeszedł szybko parę razy pokój—i poczuł, że dłużej tu nie wytrzyma... Miał wrażenie, że gdyby pozostał tak jeszcze przez półgodziny, owa czczość i martwota zgębiła by go i wprost unicestwiła.

Porwał kapelusz i wyszedł na ulicę. Tu przynajmniej turkot przejeżdżających dorożek, ruch przechodniów na chodnikach, jasno oświetlone wystawy zapełniały tę czczość myśli rozmaitością wrażeń.

Przeszedł parę ulic, nie zdając sobie dokładnie sprawy, w jakim kierunku idzie, aż ujrzał się obok Wodewilu.

— Tam jeszcze gwarniej i jaśniej—pomyślał w duchu—i zaraz stanęła mu przed oczyma wielka sala pełna stolików i krzeseł, tłum gości, dźwięki orkiestry. Tego właśnie zgiełku i hałasu pożałował w tej chwili najbardziej, aby tylko uciec od dręczącej samotności i smutku. Przyszło mu na myśl, że koledzy jeszcze tam są zapewne i może czekają na niego.

— Wstąpię—rzekł sobie w duchu—może rozerwę się trochę.

Od schodów już zaleciały go dźwięki muzyki. Sala była szczelnie zapełniona; lawirując pomiędzy stolikami i rozglądając się powoli, dojrzał w końcu przy jednym stole kolegów i począł przyciskać się ku nim.

— Patrzcie: Władek!—zawołał ujrawszy zbliżającego się „Mecenasek“—A co? wygrałem dwie butelki piwa! Kelner! piwa!

Rozsunęto się zaraz przy stole i wstawiono krzesło dla Władysława.

— Pysznieś zrobił, żeś przyszedł—mówił Henryk—a ja, co prawda, nie spodziewałem się już dziś ciebie zobaczyć. Zdziczyłeś—czy co, Władku?—ciągnął dalej—ani ciebie spotkać w knajpie, ani w teatrze—trzy miesiące już tu siedzimy w Warszawie, a dziś po raz pierwszy spotkałem cie u Wacława.

— Widzisz—tłumaczył się Władysław—picie mnie szkodzi, nie wiele zresztą mam pieniędzy na trawienie po knajpach...

— Szkodzi ci picie? Eh, nie zwracaj głowy! Parę kufla piwa może pójsz tylko na zdrowie. Zresztą, nie rujnuje się na knajpy z nas... żaden. Odtąd musisz tu widywać się z nami częściej. Gdzie mieszkasz?

Władysław podał swój adres.

— Można do ciebie czasem przyjechać?

— Ależ naturalnie—owszem! proszę was bardzo przychodźcie do mnie, a moglibyśmy nieraz i bez knajpy spędzić przyjemnie wieczór.

— No, no—zobaczymy, jakoś się to ułoży.

Z estrady buchnęły dźwięki jakiegoś marsza więc przerywali na chwilę rozmowę.

Władysław który lubił muzykę zaczął przysłuchiwać się z przyjemnością, chociaż wołałby, żeby była mniej hałaśliwa i dalsza. Czuł się podniecony nerwowo, i tak przy kuflu piwa, w gronie kolegów, zeszło mu niepostrzeżenie parę godzin na ożywionej rozmowie.

Z tem wszystkim, były chwile, kiedy uczuwał nagle jakąś ciężkość na sercu i jakieś przygniecenie. Było to wówczas, gdy przychodziła mu na myśl Zosia. Obraz jej—który nosił w duszy—zaczynał go wówczas wprost bolić i miał takie wrażenie, jakgdyby naruszył jego świętość i jasność.

W takiej chwili milkł, przesunął rękę po czole i wpadał w zadumę, a wybuchy wesołości i żartów kolegów raziły go i dręczyły boleśnie. Starzał się zresztą umyślnie nie myśleć o Zosi tu w knajpie i nie odchyłać myślą tej zasłony, za którą krył się w jego sercu jej wizerunek.

Wszakże, gdy wyszedł na ulicę i pożegnał się z towarzyszami, uczucie niesmaku i wielkiego niezadowolenia zaczęło potęgować się w nim coraz bardziej. Nie mógł sobie darować, że uległ pokusie i poszedł do knajpy, czuł bowiem, że jakoby stracił już w niej część tej świeżości duszy, jaką wywiózł z Podola i od Zosi.

Nazajutrz przebudził się późno, z lekkim bólem głowy, picie bowiem w istocie szkodziło mu, jeżeli tylko choć trochę przebrał w niem miarę. Dolegliwsem wszakże było uczucie wewnętrzne niesmaku, któremu nie mógł się obronić i cały dzień miał posępny i zmarnowany.

W parę dni potem nadszedł wreszcie oczekiwany list od Zosi. Był—jak wszystkie jej listy—serdeczny i dobry—i od razu otrząsnął Władysława z apatii i przygnębienia, które coraz bardziej niem owładało.

Zapewne musiało być przykro Zosi, że Władysław stracił zajęcie, nie czyniła mu wszakże w liście żadnych wymówek,—przeciwnie, starała się go pokrzepić i dodać mu otuchy.

— „Myślę—Władku,—tak pisała Zosia—że musiały być jakieś ważne przyczyny, które skłoniły cię do pozostawienia dotychczasowego zajęcia, bo wierzę, że nie rzuciłbyś go ot tak—przez lekkomyślność.

Podwójnie ciężko ci teraz będzie w Warszawie, nie trać jednak otuchy i ufaj Bogu. On ci dopomoże w twoich dobrych chęciach i staraniach; a ja codziennie gorąco proszę Najświętszej Matki, aby cię strzegła i nie opuściła ciebie w twych troskach i trudach. Wytrwaj więc—walcz—a obaczysz, że zwyciężysz i zwalczysz wszystkie przeszkody. Władku mój! pamiętaj i to, że walczysz nie dla siebie tylko ale i dla mnie—i że każde twoje zmartwienie i radość są zarazem moim zmartwieniem lub radością, jakgdybym przebywała je sama.“

Po odczytaniu tych prostych, a serdecznych słów Władysław uczuł, że ogarnia go wielka tkliwość i wdzięczność ku ukochanemu dziewczęciu, które jedyne czuwa zdaleka nad nim i tak oto dodaje mu otuchy i wiary w Opatrzność i w jego własne siły. I znów uczuł, że przybiera mu w piersi jakaś nowa energia i chęć do

walki życiowej—tak właśnie, jakby tę chęć i tę energię przyniosło nie co innego, lecz ten list od Zosi.

Szczególnie uderzyły go ostatnie jej słowa: tak, on to wie, że każda radość jego i każde zmartwienie Zosia odczuje zaraz, jak swoje własne. Więc on będzie się starał odtąd aby przyczynić jej tylko radość i wesele, wszelkie zaś troski usuwać od niej nazawsze. Powinien więc zacząć to od tej chwili i jaknajprędzej podzielić się ze swoim najdroższym kochaniem jaką dobrą wiadomością.

Gdyby tak udało mu się w tych jeszcze dniach wyszukać sobie nowe zajęcie? Czuł, że taka wiadomość ucieszyłaby Zosię szczerze, tembardziej, gdyby się dowiedziała, że nie dzięki przypadkowi, lecz własnej energii i rzutkością znalazł dla siebie jaką posadę...

I przy tej myśli uczuł nagle szczerą chęć podjęcia wszelkich wysiłków i starań, byle tylko dopiąć tego celu. Lecz dokąd tu się udać? Był przecie w wszystkich znanych sobie adwokatów i wszędzie spotkał się z odmową. Wywiadywał się przecie u kolegów o jakie zajęcie, lecz i ci nie mogli mu dać żadnych wskazówek. Co więc ma począć?

I porwał go gniew i złość na siebie i na los: oto bowiem czuł z każdą chwilą większy zapal i chęć do pracy—zapal tak szczerzy, że ochotnie jałby się najcięższych fizycznych wysiłków, choćby mu przez dzień cały kopać albo cepem machać przyszło, byleby tylko już coś robić i by uradować tamto swoje kochanie pożądaną jaką nowiną,—a tu tymczasem wszystek ten zapal i chęć rozbija się o brak wszelkiego zajęcia.

Rozdrażniło go to ogromnie. Więc uparł się i rzekł że stanowczością, jakby na przekór losowi:

— A jednak muszę coś dla siebie znaleźć—i znajdę!...

I zaraz zaczął myśleć ostro: odpowiedniego wprawdzie jego uzdolnieniu zajęcia u żadnego adwokata znaleźć nie mógł, ale gdyby wyszukał sobie narazie jakie inne, choćby nie stałe zajęcie, choćby na godziny przy jakim urzędniku, albo... może dawać lekcje?

Zastanowił się nad tą ostatnią myślą. Z gimnazjum wyniósł dokładną znajomość języków starożytnych. Gdyby tak znaleźć parę lekcji łaciny albo greki. Ale przez kogo? I tu stosunki są niezbedne.

Chyba dać ogłoszenie do „Kuryera“?

Tu przyszło mu na myśl, że ogłoszenie będzie go kosztowało, a w obecnym stanie każdy rubel dużo dla niego znaczy. Wszakże odsunął zaraz to nierozsądne skąpstwo.

— Na knajpę to nie żalowałem, a teraz będę żalować, kiedy wydatek może mi się wrócić kilkakrotnie?

Wziął kapelusz i poszedł zaraz do „Kuryera“ umieścić ogłoszenie.

Powróciwszy do domu, zastał bilecik od Stanisława:

— „Wyjeżdżam wieczornym pociągiem. Bądź u mnie zaraz, albo przyjdź przed odejściem pociągu na dworzec.“

Zaraz więc poszedł na Hożę.

Stanisława zastał zajętego układaniem rzeczy do kufrów, które następnie przy pomocy chłopaka przewiązywał sznurami. Uściskawszy dłoń przyjaciela, Władysław zapytał:

— Cóż tak nagle wyjeżdżasz? Przed paru dniami nie mówiłeś mi nic jeszcze o dniu wyjazdu.

— Bom sam jeszcze nie wiedział, kiedy wyjadę. Wczoraj ukończyłem obraz, a dziś przed południem dopiero otrzymałem pieniądze.

— Więc nie zaczekasz nawet do jutra?

A tamten podniósł się z nad kufra, nad którym był pochylony, odgarnął z czoła czuprynę i spojrzął z jakimś dziwnym wyrazem na Władysława:

— Po co? Czy myślisz, że mi tu tak dobrze?—zapytał przytłumionym, drżącym nieco głosem. Był już prędzej!...

Machnął gwałtownie rękę i nachyliwszy się, przewiązywał dalej sznurami kufer.

Zostawała nie cała godzina do pociągu, trzeba się było śpieszyć. Władysław zrozumiał, że nie czas teraz na rozmowę i począł pomagać w pakowaniu, jak umiał. Pracowali milcząc.

Lecz Władysława ogarnął nagle wielki smutek i schwyił głęboki żal za serce. Dotąd ten wyjazd Stanisława wydawał mu się jakąś rzeczą daleką i nie konkretną, zresztą mówił o nim dużo z przyjacielem i jakgdyby oswoił się z tą myślą. Teraz dopiero, widząc przed sobą spakowane już rzeczy i kolegę zebranego do drogi, zrozumiał, że to jest wyjazd, gdzieś na koniec świata, i że to jest chwila rozłąki—może nie na rok jeden...

Więc serce ścisnęło się mu gwałtownie, niby jakimś smutnym przecuciem—i—gdy już wsiedli do dorożki, która miała ich odwieść do dworca, ujął rękę przyjaciela i ścisnął ją mocno, zapytał jakimś tklwym, przerywanym głosem: — Stachu!.. I nie żal że ci tak — kraju?.. nikogo?..

Stanisław spojrział na niego przyćmionymi nieco oczyma:

— Pytasz, czy nie żal? Władku, a czyż ty nie znasz mnie, czy nie wiesz, jaki tam raj był dla mnie—jak mi drogie tamte strony, kraj mój najpiękniejszy i ukochany?..

O, nie znajduję ja już nigdzie tego, co tam zostawiam za sobą!..

— Ale teraz—dodał łamiącym się głosem—to mnie już wszystko jedno!.. Bo słuchaj: prócz wszystkiego, wyrządzono mi i tę wielką krzywdę, że odtąd już widok stron mych najukochańszych stał się dla mnie tak pełnym bólu, że już bym ani ujrzeć ani powrócić w tamte strony niemógł.. Hej! wy pola moje rodzinne i stepy!.. Już mi myśl o nich rozrywa pierś i serce!.. Więc dalej... tak lepiej będzie — byle już jaknajdalej!..

— Ale wrócisz przecie? — pytał Władysław przytłumionym głosem.

Tamten zaś wzruszył ramionami:

— Władku, czy ja wiem? Czy ja co wiedzieć mogę? To tylko czuję, że mi tu ziemia pali stopy, jak żar, że mnie wygania ztąd ból, że mi serce i mózg... Ach, gdyby stracić pamięć!..

Dorożka zatrzymała się przed dworcem kolei Wiedeńskiej. Tyle mieli czasu do odejścia pociągu że Stanisław zdążył jeszcze kupić bilet i wzięść kwit od rzeczy. Rozległ się drugi dzwonek.

— No, bywajże zdrów — i szczęśliwy—rzekł Stanisław i wziął w ramiona kolegę. Przez chwilę stali tak w mocnym uścisku, ze wzburzonymi piersiami, a gdy potem spojrzeli sobie w twarz, obaj mieli rzęsy wilgotne.

— Pisujże do mnie, Stachu, choć parę razy do roku — mówił Władysław — Niech przynajmniej wiem, że żyjesz... Pamiętaj — za dwa miesiące oczekuję od ciebie listu.

— Jeżeli będę gdzie blisko poczty. Nie po to uciekam ztąd od ludzi, by i tam ich szukać—dodał z jakimś smutnym uśmiechem. Będę szukał, gdzie najwięcej szerokich przestrzeni, a ludzi najmniej—tam się może osiedle...

— I będzie ci tam dobrze?... Pytał Władysław, patrząc z żalem w oczy przyjaciela.

— Będzie, jak Bóg da! — odpowiedział tamten — byle pracy jaknajtwardszej, jaknajcięższej — nieustannej—aż do potu, aż do śmiertelnego znużenia... to może wówczas zbędę pamięci...

— Panowie, wsiadać!.. Ozwał się głos konduktora. Zaraz ruszamy.

— No, bądźże zdrów! rzekł Stanisław i jeszcze raz ujęli się w ramiona. Dziękuję ci — dodał serdecznym, wzruszonym głosem—ty jeden, Władku, dotrwałeś przy mnie do ostatka... tego nie zapomina się do śmierci!..

Ucisnął mocno dłoń przyjaciela po raz ostatni i wskoczył do wagonu.

Uderzono właśnie trzeci sygnał. Pociąg gwiżdżał—i ruszył z miejsca.

Władysław wracał z bankofu z wielkim żalem i smutkiem w sercu. Dopóki Stanisław był w Warszawie, odwiedzał go co parę dni na Hożej w jego pracowni i chociaż tamten ostatnimi czasy był zajęty przy wykończaniu obrazów i bardzo mało mówny, sama wszakże obecność wystarczała im obu, kochali się bowiem obaj serdecznie i nawykli byli do siebie bardzo w ciągu lat wielu. Teraz więc dopiero uczuł się Władysław w Warszawie ogromnie osamotniony i rozumiał jasno, że opuścił go przyjaciel jedyny, z którym łączyła go wspólność pochodzenia z kresów i silny węzeł wewnętrzny. Od lat dawnych nie mieli przed sobą obaj żadnych tajemnic, odkrywali nawzajem sobie dusze i serca, dopełniali się niemal wzajemnie moralnie i duchowo, — nie dziw więc, że ta rozłąka dla obu była rzeczą bolesną i smutną, a jak to zwykle bywa—smutniejszą dla pozostającego.

Pozostawali mu wprawdzie dawni koledzy uniwersytecy, rozumiał to wszakże, że przyjaźń, jaka łączy go z nimi, jest zupełnie innego rodzaju. Był to stosunek oparty wyłącznie na kilkoletnim wspólnym życiu koleżeńskim, niedosć ścisły, aby mógł być nazwany istotną przyjaźnią. Ani sam nie mógł wywnętrzać się przed nimi, ani ich świat duchowy nie obchodził go tak dalece, jakto było naprzykład między nim a Stanisławem.

Wszakże, gdy w kilka dni później zeszli się do niego wieczorem, był im rad szczerze, podejmował jak umiał najgościnniej i rozerwał się w ich towarzystwie. Lecz, gdy po paru godzinach wychodzili od niego i ciągnęli go ze sobą do jakiej restauracji — Władysław, pod niedawnym jeszcze wrażeniem, ostatniego listu Zosi, oparł im się stanowczo i wymówił jakimś zajęciem.

Tymczasem, zaraz nazajutrz po ich bytności, zgłoszono się do Władysława z „Kuryera“ z propozycją przerabiania lekcji z uczniem gimnazjum. Warunki wprawdzie były niezbyt świetne, lecz przystał na nie odrazu i rad był, że jego zabiegi nie poszły zupełnie na próżno. Zajęcie to wszakże zabierało mu tylko godzinę po obiedzie, a po zatem pozostawał cały dzień wolny, a co najgorzej cały długi wieczór, którego nie było czem zapełnić. Pożądał więc i pragnął już jakiejś stałej pracy — jak zbawienia, w istocie bowiem praca tylko mogła go wybawić od tej czezości, nudy i pokus, które stokroć częściej nawiedzają przy próżnowaniu.

Zabrał się więc do lektury — poważniejszej i lżejszej naprzemian, ale wkrótce się przekonał, że cały dzień wypełnić czytaniem niepodobna. Owszem, powstawało wówczas niby jakieś znużenie i chciwość umysłowa, i jako reakcja przeciw temu coraz gwałtowniej zjawiała się potrzeba jakichś hałaśliwych rozrywek, jakiegoś zapamiętania się i oduszenia. Szczególniej przychodziło mu to wieczorami. Wówczas jego pokój wydawał się pęsną celą, w której wytrzymać było niepodobna. Coś go wyrzuciło z niej, parło z nieprzezwyciężoną siłą w ten szalony wir życia, który tam wrzał na ulicy, — szumiał i huczał głucho, niby oddalone morze. Próbował się opierać wówczas tej sile—chwycił pierwszą lepszą książkę—starał się skupić i zająć uwagę — ale myśl jałowa odmawiała mu wszelkiego posłuszeństwa, a znużony umysł potrzebował na gwałt jakichś wstrząśnień i wrażeń silnych.

Starał się wówczas myśleć o domu, nade wszystko zaś o Zosi, i zdarzało się nieraz, że zwolna wpadał pod czar tamtych wspomnień świeżych i czystych, zwolna czyniło mu się w duszy dziwnie jasno i lekko, a potem przychodziło jakies ciche dobre rozrzewnienie, i już cały wieczór przepędzał w świetle drogich wspomnień i tęsknot, niby w jakimś lepszym, idealniejszym świecie.

Taką właśnie chwilę czystą i jasną, chociaż ogromnie tęskną, miał w wieczór wigilijny. Święta spędzić musiał w Warszawie, trzymały go bowiem owe lekcje, które to między świątecznym czasem nie tylko że nie były przerwane, lecz

przeciwnie—nawet podwojone. A on tymczasem całą duszą rwał się do domu — do Zosi. Były nawet chwile, kiedy tęsknota z taką nie ukojoną siłą chwytala go za serce, że gotów już był niemal wszystko to rzucić — i jechać. Wszakże poczucie obowiązku przemogło w końcu i został.

Za to Wigilję miał niewypowiedzianie smutną. Cały wieczór spędził w swym pokoiku, nakrywszy tylko stolik świeżym obrusem i postawiwszy na nim talerzyk z opłatkami. Było to—wraz z listami jedyne echo ze stron ukochanych — a przysłało mu je i z domu i z Orzeszkowice. Szczególnie list od Zosi był tym razem taki serdeczny i ciepły, taki kochany—że przesiedział nad nim cały niemal wieczór, wzruszony i rozrzewniony aż do głębi serca, tęskniąc niewypowiedzianie duszą całą do tej umiłowanej nad życie dziewczyny, która w tę jego samotność i troski wlewała tyle słodyczy i pociechy.

A że był w istocie ogromnie osamotniony i prześladowany przez los — więc tembardziej uczuł dobroć jej i uczuł bezmierną wdzięczność, że go nie opuściła w tej smutnej i ciężkiej życia godzinie.

A gdy tak siedział w tęsknocie i zadumie—to mu się sniło—tam—daleko—srebrne Boże Narodzenie, i świergot wróbli przed dworem, znęconych wigilijnym snopem, i gwiazdka różnokolorowa, zagląająca do jasno oświetlonych szyb dworu, a wraz z nią gwarne głowy chłopięcej gromadki...

Świeca płonęła przed nim jasno—na śnieżnym obrusie białal przelamany opłatek — a dokoła niego panowała żadnym dźwiękiem nienaruszona, jakaś uroczysta cisza, niby anielska kołoda...

Minęły święta i rozpoczął się karnawał. Warszawa bawiła się — jak zwykle—aż do szału, aż do upojenia. Balle, reduty, maskarady bywały przepełnione tłumami rozbawionymi, pożądającymi coraz nowych zabaw i upojen. Bawiono się też i w domach prywatnych, a tego rodzaju zabawy ochoczością i ożywieniem nie ustępowały wcale wielkim balom publicznym.

Władysław, nie mając znajomych domów prywatnych, był na paru zabawach—raz w salach reutowych i raz w ratuszu, ale nie spotkał się nigdzie ze znajomymi, tańczył mało i wcale się nie bawił.

Tymczasem w warunkach jego życia nic nie zmieniło się na lepsze. Pomimo starań i zabiegów, które od czasu do czasu podejmował z nową energią, nigdzie nie mógł wyszukać sobie stałego zajęcia. Żył więc tak z dnia na dzień, w coraz większym przygnębieniu, czuł bowiem, że coraz mniej mu zostaje sił moralnych do prowadzenia tej walki codziennej, do podejmowania coraz nowych napróżno wysiłków. Dnie wlokły się jeden za drugim z pęsną jednostajnością — czeze—próżne,—po nich przychodziły wieczory, a wraz z nimi pragnienie rozerwania się za jakąbądź cenę, rzucenia się na oślep w wir szalonego życia. Wówczas podejmował walkę z tą gorszą częścią natury swojej, lecz w tej walce miał już coraz mniej sprzymierzeńców: brakło mu jakiegokolwiek pracy, brakło prawdziwej przyjaźni, nawet listy od Zosi stały się rzadsze, — więc nieraz kończyło się na tem, że brał kapeluszy, wychodził na miasto, wstępował do cukierni lub knajpy, wiedząc, że zawsze spotka tam znajomych. Znajdował tam przynajmniej chwilowo podniecenie i przy kieliszku wina lub szklance piwa, wśród wesołych żartów młodzieży, zapominał lub starał się nie myśleć o tem wszystkim, co go nęka i boli.

Za to następne poranki miał pełne niesmaku i wyrzutów, czuł bowiem, że marnotrawi lekko myślne czas, młodość, pieniądze i zdrowie, że prowadzi życie ogromnie bezmyślne i ogłupiające, podobne do życia tej lekkodusznej młodzieży, która żyje tak z dnia na dzień, śród użycia, bez wszelkich zupełnie ideałów, bez podnioślejszego celu, bez wiary. A przecież tak niedawno jeszcze czuł głęboką pogardę i litość do takiego życia... i teraz jeszcze, w chwilach zastanowienia, odwracał się od niego ze wstrę-

tem—a jednak czuł to ze zgrozą, że ono coraz go w siebie wciąga, wchłania, jako nie zupełnie jeszcze swoją, ale już pewną ofiarę.

Więc opierał się rozpaczliwie temu prądowi, który go odrywał od kwiecistego brzegu życia i unosił na wir na spienione fale, na zgubę.. Czuł to każdą chwilą wyraźniej, że jeżeli się nie oprze — czeka go los podobny wielu nieszczęsnym, którzy stają się w końcu straceni dla Boga, dla własnej rodziny i dla społeczeństwa.

A do tej trwogi o los własny łączył się ból niezmierny przy myśli, że oto staje się coraz mniej godny Zosi, że już nie wart szczęścia przy niej — i to poczucie przyprawiało go chwilami wprost o rozpacz i obłąkanie.

Postanowił w końcu choć cokolwiek ulżyć sercu i wyznać przed nią otwarcie, jakie tu prowadzi życie i jak mu jest źle i ciężko na duszy.

— Tak, nie chcę tać przed tobą, Zosieńko — pisał do niej — że jestem bardzo zły i już nie godny ciebie, ani twojego serca. Piszę ci to, choć mnie ból targa okrutny — nie chcę bowiem być obłudnikiem przed tobą i wydawać ci się lepszym, niżli jestem. Jeżeli dłużej to tak potrwa — jeżeli nie znajdę zajęcia i Bóg nie zlituje się nademną, to już chyba zginę i całe życie moje pójdzie na marne, bo znikąd nie widzę dla siebie ratunku. Nie opuszczaj że choć ty mnie w złej godzinie, najukochańsza moja — i módl się za mną do Boga, a może czysta twoja modlitwa ubłaga litość na demną..

Tak pisał, czując sam, że jest to rozpaczliwy krzyk duszy, stojącej nad przepaścią, krzyk o ratunek i o zmiłowanie. W tej ciężkiej dla siebie godzinie, gdy wszystko niemal odbiegło lub zawiodło i gdy już prawie nieżył — zwracał się ku tej jedynej na ziemi duszy, od której czuł, że może mu przyjść pomoc i zbawienie..

Pewnego popołudnia wracał z obiadu, gdy nagle zaszedł mu na ulicy drogę Waclaw.

— Cóż to nie pokazujesz się u nas Władku? pytał ściskając mocno dłoń jego. — Chciałem właśnie dziś pisać do ciebie. Mam dobrą nowinę.

— Cóż takiego? zapytał tamten.

— Bardzo być może, że za parę dni wyrobię dla ciebie posadę u adwokata D. Nie jest to jeszcze wprawdzie rzecz zupełnie pewna, ale bardzo prawdopodobna.

I począł mu opowiadać, że dowiedział się niedawno iż u znanego mu osobiście adwokata D. zawakowała posada pomocnika, że był już dwa razy u niego, lecz nie mógł zastać mecenasa w domu, więc zostawił swój bilet, w którym rekomendował mu Władysława, jako zdolnego i pracowitego prawnika.

— Prawie pewien jestem, — kończył — że mecenas skorzysta z mojej rekomendacji, bo zna mnie oddawna i wie, że nie polecałbym mu żadnego niedziera.

Władysław uściśnął gorąco dłoń Waclawa i począł mu serdecznie dziękować za pamięć o nim. Tamten zaś dodał:

— Jutro będę jeszcze raz u adwokata D., postaram się już koniecznie z nim się zobaczyć i dam ci znać do mieszkania.

Myśl, że otrzyma posadę i że skończy się wreszcie ta bolesna i wstrętne egzystencja, jaką wiódł dotąd, napęliła Władysława taką radością, że w jednej chwili uczał się niby odświeżony i odmieniony.

Resztę dnia spędził w gorączkowej niecierpliwości, a cały wieczór zeszedł mu na rozmyślniach o tem, jak to on zabiera się teraz z dwójną energją do pracy, jak ją nauczy się już kochać i cenić, jako niezbędny warunek i podstawę porządnego życia. Myśli te niedawno mu długo usnąć w nocy, zaś nazajutrz obudził się z radosnem uczuciem, że może to już będzie dzień jego wybawienia.

Od południa niecierpliwie wyczekiwał wiadomości od rana od Waclawa, nie wychodząc z domu, w obawie aby nierozminąć się z posłańcem Wreszcie, już przedwieczorem, zamiast oczekiwanego posłańca ujrzał w progu samego Waclawa.

Przychodził mu doniesić, że zamiar jego spełził na niczem. Adwokata zastał, lecz okazało się, iż ten już od dwóch dni miał nowego pomocnika. Otrzymałszy bilet od Waclawa, żalował bardzo że nie miał go w przeddzień, dziś zaś już było zapóźno i nie podobna usuwać tylko co przyjętego prawnika.

— Przykro mi bardzo, mówił zmartwiony istotnie Waclaw, że złudziłem cię wczoraj próżną nadzieją, ale tak byłem pewny, że mi się to uda..

I patrzył ze smutkiem w oczy Władysławowi, ten zaś począł udawać, że nie bardzo go martwi ten zawód.

— Ha, trudno — odparł, siląc się na uśmiech — może tamtemu ta posada jest niezbędniejszą dla życia, niżli mnie. W każdym razie, wierz mi, że umiem być ci wdzięczny za twe dobre chęci. I uściśnął serdecznie dłoń kolegi.

(Dokończenie nastąpi).

MIRAZE.

Wszystko, co ziemia mieć lubi w darze
Z marzonych uciech, rozkoszy upojeń,
Namiętnych pragnień, szczęśliwości rajem,
Którym w twym życiu stawiasz ty ołtarze,
Wszystko to wszystko, są tylko miraze!

Są to miraze, bo nikną jak sen,
Bo są w trwałości swej tylko skończone,
I próżnych dążeń zostają męki,
I niosą tylko zawodu rozdzwięki
Nieuniknione.

Ponad doliny łąz „fata morgana“
Są rzeczy ziemi tak bliskie prawd nieba,
Iż, by je pojąć duchem nam potrzeba
Pragnieniem żywym wzrok podnieść do Pana
Ponad doliny łąz „fata morgana.“

Wędrowcze ziemski, prawda drogę wskaże,
Gdy chcesz ominąć błędne ścieżki ziemi,
I do jej zorzy iść kroki pewnemi,
Lecz czemuż stawiasz swych pragnień ołtarze,
Między te złudne, te ziemskie miraze?..

Helia.

MODLITWA.

— Julciu!
— Słucham, mamó.
— Spać pójdziemy.

Julia odłożywszy robotkę, wstała od stołu i rozpuściła ciemne włosy; spadły, okrywając jej plecy, jakby peleryną z jedwabnej przedzdy. W przechodzie do drugiego pokoju, dziewczyna zatrzymała się u drzwi, a wzrok jej przylgnał do profilu matczynej twarzy i oderwać się nie mógł.

O, to biedne drogie oblicze, pochylone tak całymi wieczorami nad robotą! O, te włosy, osiwiałe przedwcześnie; to czoło, po którym przemknęły promienie szczęścia, bez śladu, a na któ-

rem tyle śladów pozostawił rylec troski! O, te oczy dziś jeszcze piękne, ale bez blasku, bo zbyt często we łzach kapane; te usta, przywykłe, jak straż surowa, nie przepuszczać przez swe wrota, żadnej skargi, żadnego złorzeczenia!..

Julka bliską była płaczu. Czyżby poraz pierwszy wyczytała w tej twarzy bolesne dzieje samotnego wdowieństwa, — poświęcenia, zdanego na własne słabe siły? Nie, nie! Ale dzisiaj zaszło coś, co ją samą zmieniło na wskrós, a przez to i matkę w odmiennem postawiło świetle.

Wieczorem miały wizytę. Był znów ów młody człowiek. Jaki pocziwy, jaki serdeczny, jaki — ładny! Znają się rok już cały... Ale ona nie wiedziała, co znaczą jego częste odwiedziny. Nie przypuszczała nawet... z pewnością nie przypuszczała... Serce, trochę, niepokoiło się, oczy niecierpliwie wyglądały w każdy czwartek przez okno, czy przyjdzie, ale cóż to ma do rzeczy? A on taki skromny był, taki nieśmiały.

Aż dopiero dzisiaj... Skąd jemu wzięło się tyle odwagi? Gdy matka wyszła czegoś do drugiego pokoju, on wtedy, cały w lunach, z miną człowieka, który skacze w przepaść, zapytał szybko:

— Panno Julio, czy pozwolisz, abym przyszedł jutro oświadczyć się o twą rękę?

Miała — zabronić?

Przed matką jednak nie powiedziała ani słówka. Wstydziała się. I tak zataiła skarb uciechy; zachowała go całkiem dla siebie, ani okruszynką nie podzieliwszy się z tą zmęczoną, z tą smutną, z tą nad wszystko drogą..

— Cóż to, Julciu? Jeszcze nie w łóżku? Zbudził ją z zadumy głos matki, która nakoniec uporała się z robotą.

— Zaraz, mamó, zaraz... Zmówię tylko pa-cierze.

Uklękła przed łóżkiem, białe ręce złożyła, wzrok utonął w obrazie Zbawiciela. Ale usta wypowiedziały posłuszeństwo: poruszały się — bezdźwięcznie. Po chwili, jakby mocując się z sobą, rozerwała splecione palce, oczy przykneła, wsparła czoło o poduszkę... Nadaremnie!

Wstała nakoniec, przecierając skronie, ni to w odurzeniu.

— Mamó, szepnęła, ja nie mogę się modlić.

— Ty... modlić się nie możesz?

Bez zdumienia, z niewysłowioną tylko dobrocią, podniosła matka szare swe oczy, a usta jej rozjaśniał uśmiech łagodny. Tak uśmiechnięta, długo, długo obejmowała córkę spojrzeniem, aż w końcu i ramiona wyciągnęły się, by przytulić gorącą główkę dziewczyny do serca.

— Drogie dziecię, mówiła z wolna, głosem stłumionym, musisz czuć się bardzo szczęśliwa... Ja także nie mogłam się przez czas pewien modlić... Było to wówczas, gdy twój ojciec nieboszczyk...

Julka wybuchła szlochaniem serdecznem. Szlochając, czuła na włosach ciepłe ręce matczyne, jak ją głaskały z lubością i słyszała głos rzewny, uspokajający:

— Cyt, cyt, moja mała! Cóż może być miłszą Bogu modlitwą, nad to szczęście nieme, bez słów, przemawiające tylko pełnością twej duszy?..

St. Rossowski.

Z AMERYKI.

Liczba zbrodni w jednym New-Yorku corocznie dochodzi do liczby 400 i z tego względu tylko jakieś wyjątkowe zabójstwo może zwrócić na siebie uwagę szerszego ogółu. Taka zbrodnia miała miejsce w tem mieście pół roku temu i ogół zajmował się nią wyłącznie w ciągu kilku tygodni. W swoim czasie osobistość, podejrzana o spełnienie tej zbrodni znikła i publiczność w krótkie zapomniała o niej, interesując się nowymi a nie mniej ciekawymi wypadkami. W gruncie rzeczy jednak zbrodnia ta i jej skutki pozostawiły po sobie interesujący i rezultat. Owa zbrodnia dokonana została przy użyciu butelki trucizny, posłanej pocztą, w charakterze anonimowego prezentu. I poczta okazała się w tym razie mimowolnym współnikiem ciężkiej zbrodni. Śledztwo wykazało, że zarówno ofiara zbrodni, jako i podejrzana o to osoba i wielu blizkich im ludzi byli uczestnikami systemu „prywatnych skrzynek pocztowych”. System ten czysto amerykański jest niezwykle ciekawy. Umożliwia on anonimowe i sekretne otrzymywanie listów. W Rosyji otrzymywanie listów anonimowych nie przedstawia żadnych trudności. Każdy może odbierać listy adresowane *poste restante* za wskazaniem jedynie swego nazwiska zmyślonego, inicjałów, cyfry i t. p. Daleko trudniej coś podobnego złatwić na poczcie amerykańskiej. Otrzymał list z poczty można jedynie wtedy, gdy na adresie umieszczone jest pełne imię i nazwisko i gdy ewentualny odbiorca przedstawi odpowiedni dokument, poświadczający tożsamość jego osoby.

Praktyczni Amerykanie znaleźli jednak sposób, aby obejść ten przepis i stworzyli sobie system „prywatnych skrzynek pocztowych”. System to nadzwyczaj prosty. Skrzynki mieszczą się u sklepikarzy, drobnych aptekarzy i t. p. i listy adresowane na imię aptekarza X X. doręczane są danemu osobnikowi Y. Y. Utrzymującemu takie skrzynki nie trzeba podawać swego właściwego nazwiska; on doskonale pojmuje, że do zawiązania z nim stosunku skłania konieczność okrywania się w danym wypadku tajemnicą.

Za usługi swe pobiera taki pan pewną, z góry umówioną kwotę miesięczną. Łatwo zgadnąć, jak szerokie rozpowszechnienie mogą zdobyć podobnego systemu skrzynki pocztowe, gdzie obie strony mogą korespondować, ukrywając swe faktyczne nazwiska. Środek ten stał się wygodną bronią w rękach licznych kantorzystów i oszustów. Zbrodnia o której mowa, z tego względu też była poczęści pożyteczną, że zwróciła uwagę ogółu na ów „system prywatnych skrzynek pocztowych”; obecnie prasa rozpoczęła jeneralną, przeciw niemu kampanię, a specjalna komisja w Waszyngtonie, rozpatrzywszy w całości przepisy pocztowe Stanów Zjednoczonych, projektuje skasować skrzynki prywatne zupełnie. Tymczasowo zaś zarząd pocztowy zastosował dowcipny nader środek, mający na celu podważenie egzystencji osławionego „systemu”. Mianowicie zebrano adresy osób, utrzymujących „prywatne skrzynki”, i pewnego pięknego poranku cała korespondencja, na imię tych osób adresowana, została zatrzymana na poczcie, a adresatom zaproponowano osobiste zgłoszenie się po odbiór listów przy przedstawieniu odpowiednich dokumentów osobistych. Rozporządzenie to wywarło wielką sensację w New-Yorku i dotąd wiele osób nie zgłasza się po odbiór listów, obawiając się widocznie nie na żarty podawać bliższych o sobie szczegółów. O ile rozporządzenie to jest dotkliwym dla kieszeni przedsiębiorców, utrzymujących owe skrzynki prywatne, może służyć też okoliczność, iż jeden z nich ma zamiar wystąpić

na drogę prawną, przeciw temu rozporządzeniu i w tym celu na opłacenie adwokata zbiera składki wśród kolegów po fachu, które według jego obliczeń, dadzą niechybnie 10.000 dolarów. Powyższe rozporządzenie nie dotyczyło listów z ofertami, nadsyłanymi bez adresów, jedynie z pewnymi literami lub cyframi, lecz na imię tej lub innej redakcji gazety, gdzie dane ogłoszenie było zamieszczone, gdyż tutaj wchodzi w grę interesy handlowe, wymagające często tajemnicy niezależnie od jakichś niedozwolnych operacji ubocznych.

A jednak przyznać trzeba, że i ogłoszenia osobiste a w pismach perjodycznych zamieszczane, nie tylko interesy handlowe mają na widoku, dają przecież jego właścicielowi Bennetowi setki tysięcy dochodu, gdyż cena ogłoszeń tych wynosi 60 centów za wiersz druku. Rozporządzenie pocztowe, o którym mówiliśmy nie dotyczy gazet, i żadne nawet inne środki stosowane przez urząd pocztowy nie mogą zaszkodzić *Heraldowi*, który prawie zupełnie nie korzysta z usług poczty przy przesyłce numerów gazety, używając do tego specjalnych pociągów. Jedyną radą było by wytoczenie sprawy kryminalnej Bennetowi. Sprawa taka miała miejsce lat temu 3 w Chicago, gdzie został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej wydawca gazety *Dispatch* za drukowanie ogłoszeń, bardzo podobnych do zamieszczanych w *Heraldzie*. Wydawca *Dispatcha*, Dulap, został przez sąd skazany na dwa lata więzienia i 2.000 dolarów kary. Najwyższy sąd Stanów Zjednoczonych, do którego apelował Dulap, potwierdził tylko wyrok pierwotny.

Tymczasem wysoce moralny *Herald*, posiadający w składzie redakcji niejednego pastora-referenta działu religijnego, dalej prowadzi swój brzydki proceder ogłoszeniowy i urząd pocztowy łatwo zgniółtłszy małego pionka pod postacią „prywatnych skrzynek”, napróżno szuka drogi do ukrócenia nieokiełzanego *Heralda*.

O ile dwuznaczną i naganną jest działalność takiego *Heralda* nowojorskiego, o tyle piękną i godną uznania jest działalność panny Heleny Gould, najpopularniejszej obecnie w Stanach Zjednoczonych osobistości. Na całym terytorjum Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej każdy zna doskonale tę młodą patriotkę i jej udział w ostatniej hiszpańsko-amerykańskiej wojnie. Jako nagrodę za swą działalność w dziedzinie dobroczynności otrzymała miss Gould złoty medal w imieniu członków kongresu, a od przedstawicieli New Yorku, Pensylwanii i Illinois adresy dziękczynne i album z autografami 3.000 żołnierzy pieszych wojsk i marynarki. Działalność dobroczynna miss Gould nie została przerwana z zakończeniem wojny. Niedawno znów po olbrzymim pożarze w hotelu Windsor, rozkazała ona otworzyć drzwi swego obszernego pałacu, znajdującego się w pobliżu tego hotelu i zamieniła swe sale i buduary na szpital. Obecnie panna Helena Gould jest osobą, posiadającą najwięcej odznak honorowych w całej Ameryce. Kraj ten oryginalny na każdym kroku rzucą nam przed oczy instytucje, obyczaje, zakłady i t. p. Wielce ciekawe, niezwykle, o jakich mieszkańcy *Europe Vieille* nie mają często najmniejszego wyobrażenia.

Tak naprz. w Stanach Zjednoczonych istnieje ścisłe z organizowany syndykat żebraków, funkcjonujący wedle zasad najbardziej współczesnych i ulepszonych.

Syndykat ten cieszy się takim powodzeniem, iż zajmuje lokal, za który płaci 10.000 rubli. Tam przechowuje się ze składek ogólnych zebrane, 3 000 kul, 1,500 lasek, 4.000 drewnianych nóg i rąk sztucznych, 6.000 biletów z czułem odezwaniami do miękich serc przechodniów. Codziennie w „biurze zarządu” zbierają się członkowie syndykatu gdzie mogą wynajmować za umiarkowaną cenę, kule, odezwy i t. p. i otrzymywać adresy mniej lub więcej chętnych ofiarodawców. W razie choroby członka, syndy-

kat decydował zapomogi. Instytucja ta robiła świetne interesy, dyrektor zarządu dorobił się milionów i został aresztowany w łożu podczas zalecanek do jednej z gwiazd półświatka. Obecnie syndykat ten został przez Włochy rozwiązany, i oczekuje bardziej liberalnych rządów, aby na nowo rozpocząć swą działalność.

Niemniej oryginalnie przedstawia się kwestjonariusz statystyka d-ra Galla, założyciela uniwersytetu klerka, w sprawie lalek.

Jedno z pytań owej ankiety brzmiało: w jaki sposób dzieci karzą swe lalki i dało następujące odpowiedzi: 41 dzieci kładą swe lalki za karę spać, 34 — biją je, 25 — strofuje winowajców, 32 — zamyka na klucz do szafy, 13 — nie bierze na spacer, 17 — stawia do kąta, 11 — wstrząsa za ramiona, 7 — bije po twarzy. Statystyka ta świadczy, rozumie się, o tem, jak zachowują się rodzice tej dzieciarni, gdy które z nich cośkolwiek zawini. Dalej pytania, w kwestjonariuszu zawarte, obejmowały następujące kwestje: jakie lalki najbardziej podobają się dzieciom: woskowe, porcelanowe, czy drewniane?, jakie imiona dają dzieci lalkom, i wreszcie czemu je żywią? Przyznać trzeba, że profesor Gall, pomimo swej działalności naukowej, musi rozporządzać bardzo znaczną ilością wolnego czasu, który mu pozwala zajmować się tego rodzaju ankietami. Zupełnie innego zajęcia jęła się arystokracja londyńska, która w ostatnich czasach coraz to silniej skłania się do handlu. Tak tedy lord Londondery utrzymuje magazyn bławatny, markiz Busch — skład win, lord Sydney założył magazyn gotowych ubiorów, lord Bourton — restaurację, lord Asthon ma fabrykę dywanów, lord Garrinhton — sklep kwiatowy i t. d. i t. d. Z nowości bieżących uwagę ogółu zajmuje sensacyjne morderstwo popełnione na dwojgu niemowlętach przez kota. Jedno maleństwo zostało uduszone, a drugiemu kot odgryzł nos i rękę. Kot był domowy i zwykle sypiał w pokoju, nie zdradzał bowiem nigdy krwiożerczych instynktów. Ameryka posiada już oddawna kobiety-lekarki, ale dopiero pierwsza pani Margarita Stenton została wybrana na prezesa rady medycznej okręgu Onondaga. Pani Stenton ukończyła uniwersytet w Ameryce i w ciągu lat kilku pracowała w szpitalach w Wiedniu, Paryżu i Londynie.

Kronika działalności kobiecej.

— Panna Marya Czesława Przewózka wydała dłuższą rozprawę p. t. „Kobieta i postęp ludzkości,” studjum społeczno-filozoficzne. W pracy tej, młoda autorka bardzo wymownie i gorąco, na podstawie naukowych i historycznych faktów, kreśli udział kobiety w rozwoju ludzkości, wykazuje wpływ jej zawsze prawie dobroczynny gdzie i kiedykolwiek dano jej wykazać zdolności i chęci, a równocześnie maluje ciągle, tendencyjne trzymanie kobiety w oddali od samego współdziałania w ruchu świata. Liczne zdania i spostrzeżenia wielkich ludzi w tej sprawie przytacza autorka na poparcie swych dowodzeń, a całość rzeczy odznacza się logicznym rozwojem myśli, i bardzo żywym przejęciem się ideą w imię której p. Przewózka przemawia. Studjum wyszło w druku w dodatku miesięcznym „Przeglądu Tygodniowego” (w zeszytach III za Maj 1899 r.). Młoda literatka znana naszym czytelnikom z udatnych wierszy podpisanych imieniem „Heli,” wydała również niedawno i inną broszurę treści filozoficznej p. t. „Fryderyk Nietzsche jako moralista krytyk” i pracuje obecnie nad nową pracą, o których to utworach pomówimy razem nieco później, zaznaczając dzisiaj, że energiczne

i dobitne pióro p. Przewózkiej może rzucić niejedną nową i zdrową myśl na drogę ważniejszych ludzkich zagadnień i prądów.

— Panna Marya Domańska otwiera w Piotrkowie pierwszą szkołę froeblovską. Dla miejscowej dziatwy do lat 6 — 7, niebyło dotąd w Piotrkowie właściwego zakładu pedagogicznego gdzieby się jej umysł i obyczaje rozwijać mogły; szkoła froeblovská panny Domańskiej ma zatem przyszłość niemal zapewnioną, tembardziej, że młoda nauczycielka bierze się do pracy z dobrem przygotowaniem i gorliwą chęcią zadośćuczynienia swym obowiązkom.

— Istniejąca w Anglii „Szkoła ogrodnicza w Swanley“ przysposabia coraz liczniejsze zastępy wykwalifikowanych ogrodników, które po ukończeniu zakładu dostają miejsca jako nauczycielki ogrodnictwa albo jako wprost ogrodniczki prowadzące większe ogrody. W roku zeszłym ukończyło szkołę i rozjechało się na posady 28 uczennic, w tym roku już 38. Zaprowadzono też praktyczną nowość, to jest, podróże po kraju ukończonych ogrodniczek jako doradczyń przy zakładaniu nowych ogrodów, albo jako czasowych kierowniczek przy ogrodach, cieplarniach, sadach i t. p. dla poprawienia ich stanu lub zaprowadzenia jakiej nowej kultury. Takie wędrownie, umiejętnie ogrodniczki jakżeby się przydały n. p. u nas po wsiach, gdzie wiejską gospodynię nie stać na trzymanie ogrodnika stałego, a sama z ogrodem nie może sobie dać rady. Parę miesięcy wspólnej pracy z osobą fachową obznajmiły by niejedną z pań naszych z ogrodnictwem i uporządkowałyby, te tak często zaniedbane ogródki, i grzędy warzywne i drzewa owocowe, w mniejszych własnościach ziemskich. I u nas jest sposobność nauki ogrodnictwa, ale jakoś zamiast praktycznej gałęzi gospodarskiej, woła nasze panny „malaturę“ na skorupkach i owe „klocki“ z których rzadko kiedy wywija się porządna koronka!

— Na nowym uniwersytecie w Brukselli użyła panna Angelika Bałabanoff godność doktorską na mocy swej rozprawy p. t. „Kobieta w literaturze francuskiej 19 wieku.“ Kandydatka uzyskała najwyższe odznaczenia.

— W Chicago, trzy kobiety, panie: Blaine, Cormick i Sturges — przy wykazie urzędowym podatkowym oznaczały znaczne kwoty należnych od ich mienia podatków, tak jakby należały do milionerów miejscowych, tymczasem była to tylko prosta, sumienna uczeliwość w wykazaniu istotnego majątku i obliczeniu należnego krajowi swemu podatku. Taka samodzielność, to prawdziwy postęp sprawy nie tylko niewieściej, ale narodowej i ludzkiej.

MYŚLI.

Jaka tylko była na tej ziemi myśl ciepła, porywająca serce, sięgająca w dal nieskończoną, zawsze jej towarzyszyła z zapalem, czasem stawała na czele — kobieta. Trzeba im przyznać, iż prawie całkiem nie widać ich tam, gdzie się rozszerza jakaś idea na szkodę ludzkości. Nie-

porównany ich instynkt, osobliwszy dar łaski Bożej, używany w plemienu męzkim tylko geniuszom pierwszego rzędu, a i tym jeszcze nie wszystkim, zawsze je prowadzi do celów szlachetnych, prawdziwych i pięknych.

Zyg. Kaczkowski.

Ja tak powiadam: że białogłowa wszystko to umieć może co mężczyzna, nie jest jej dowcipkęs jeden od naszego podlejszy i owszem, jak nas uczy filozofia: iż kto ciała subtelniejszego, ten i rozumu bystrzejszego być musi. Nie ukazesz mi waszność mężczyzny jednego z osc-

bnymi przymiotami, abym ja wnet żony, dziewki, siostry, albo powinowatej, jemu równej, albo jeszcze osobniejszej niż on nie okazał. Nie wiasta potrzebna jest przedewszystkiem światu ku dobremu i zbożnemu życiu.

L. Górnicki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 11-ty.

ZNIŻONA CENA.

WYDANIE PIERWSZE
WSPANIAŁE
W FORMACIE WIELKIM.

PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

przekład **X. Jakóba Wujka**,

ZATWIERDZONY PRZEZ STOLICĘ APOSTOLSKĄ,

ozdobione **230** drzeworytami

podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

ZAWIERAJĄCE:

DWA WIELKIE TOMY

254 arkusze tekstu

z ozdobami na każdej stronicy.

230 RYCIN

wielkiego rozmiaru

odbitych każda na osobnej karcie.

Z podziwem i uwielbieniem stajemy przed niezmiernym ogromem tej pracy, w której jednemu artyście powiodło się czarujące i wspaniałe ilustrowanie całego *Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu*, z połączenia sztuki drzeworytnika i typografa z sztuką rysownika-kompozytora powstała Biblia ilustrowana, do jakiej w całym obszarze wydawnictwa europejskiego nie istniało dotąd nic podobnego.

CENA ZNIŻONA WYNOŚI:

tylko rubli 21 (Złr. 31, — Marek 61), z przesyłką pocztą rubli 23.

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzanym grzbietem, pięknymi wyciskami i złoconemi brzegami, oraz futerałem **tylko rubli 33.**

(Złr. 46; — Marek pr. 78), z przesyłką pocztą rs. 36.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, — ulica Włodzimierska № 4.

Treść: Edgar Allan Poe. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Miraże, przez Helia. — Modlitwa, przez St. Rossowskiego. — Z Ameryki. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 11-ty. — Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja obiada.

KORESPONDENCCYA PARYZKA.

Przegląd Mód.

Paryż, d. 10 Października 1899 r.

Życie światowe, eleganckie i wykwintne, skupiło się obecnie we wspaniałych rezydencjach i zamkach arystokracji pieniężnej i rasowej, rozrzuconej po całym kraju. A w tej chwili panuje nawet moda, że nawet najwspanialsze wesela obchodzą się w majątkach rodzinnych, gdzie bywają urządzone dla gości najrozmaitsze kilkodniowe festyny, gdyż zaproszonych weselników podejmuje się tańcami przede dworem, karuzelą, strzelaniem do celu, rozmaitemi sportami, widowiskami teatralnymi i t. p. ucieczkami, do udziału w których zaprasza się wszystkich domowników, służbę i mieszkańców całej wsi.

Takie patryarchalne wesela ma jednak cechę nowomodną, gdyż wspaniałe tualety panny



Nr 8 i 9. Kołnierz futrzany i kapelusz aksamitny.



Nr 1. Żakiet i kapelusz dla dziewczynki od 13—14 lat.
(Kroj odwr. str. tablicy Nr XV, fig. 120—121).

Nr 2. Paltocik dla chłopca od 11—12 lat.



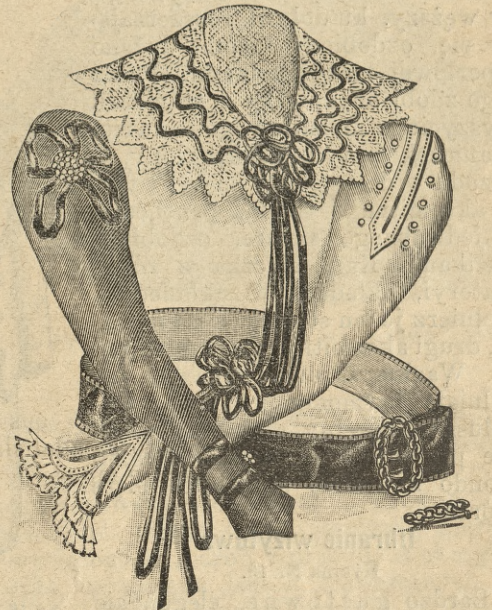
Nr 10 i 11. Żakiet dla dziewczynki od 8—9 lat
i żakiet dla dziewczynki od 11—16 lat.
(Kroj pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 41—49).

skrajane falująco i zawsze w takim tonie, aby odbijało od wierzchniej falbany. Jednym słowem, futra są w tak wielkim użyciu, bo podbijają nimi wszelkie długie okrycia, iż magazyny życzą sobie, aby zima dobra dała się nam we znaki. Bo i szkoda byłoby tak znacznego wydatku, na względnie krótką, paryzką zimę. Być może, że modę na długie futrzane okrycia należy zawdzięczać rozwielmożnionym automobilom, do których z powodu szybkiej jazdy niezbędny jest w zimie strój ciepły i długi.

Paltocik z kapiszonym dla chłopczyka od 11—12 lat.

Rycina Nr 2.

Granatowy, szewiutowy paltocik, zapięty na dwa rzędy rogowych guziczków. Z tyłu ma szpiczasty kapiszon, kołnierz wykładany z wyszytymi, marynarskimi znaczkami, z tyłu patka, zapięta na guzik.



Nr 3—7. Modne ozdoby stanika: rękawy, kołnierz, pasek i klamra.



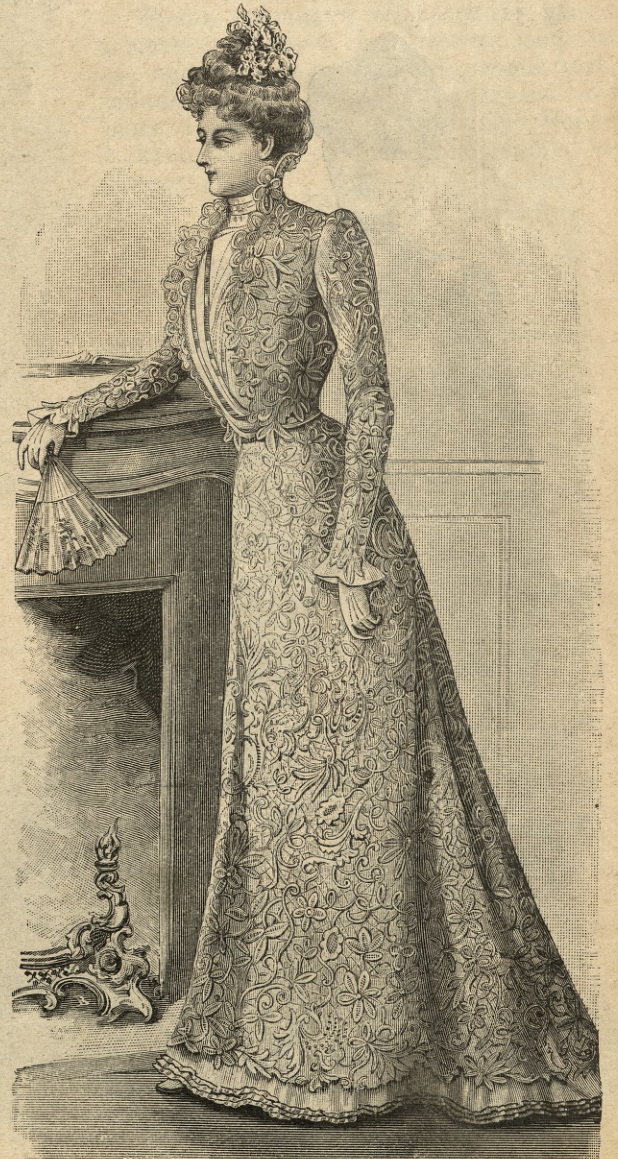
Nr 12. Suknia spacerowa i kapelusz.

młodej i zaproszonych gości, przypominają najwspanialsze tualety dworskie.

Na wspaniałym weselu jednej z dziedziczek w okolicach Loary, zaproszone damy wystąpiły w tualetach dworskich dawnego stylu z trzewikami na wysokich obcasach, z laskami o złotych galkach i miękkimi, długimi szalami z chińskiej krepy.

Paryż pomału się zaludnia swymi eleganckimi mieszkańcami. Bulwary i pola Elizejskie przybierają już swój zwykły wygląd, gdzie moda przedewszystkiem królóje. Ukazały się już futra w formie długich boa, opatrzonech jednym lub dwoma lisiemi łebkami. W tym roku główki zwierzęce zapinają się z tyłu na szyi, tworząc tym sposobem wysoki, ciepły kołnierz. Na szyi zwierzątka zawieszają małe grzechotki i grelotki, uderzające o zawieszane perełki lub drogie kamienie, co wytwarza łagodne brzaskanie, jakby małych janczarów. Długie boa są najczęściej wykonane z lisów srebrno-popielatych, a tualety do tego rodzaju futer są przeważnie zrobione z ciemno-ponowego sukna i przybrane aksamitem w grube prążki, czarne z białym. Wyłóg taki często też robi się z białego atlasu i nazywa małemi, czarnymi aksamitkami.

Mufki noszą dość duże, szerokie, płaskie, zakończone szeroką falbaną, objętą futrem. Od wewnątrz idzie również druga falbana, aksamitka lub koronka, albo nawet futerko,



Nr 13. Ubranie wizytowe.

Kołnierz futrzany i kapelusz.

Rycina Nr 8 i 9.

Wewnętrzna strona wysokiego „à la Médicis“ kołnierza jest z pięknego futerka „chenilla.“ Niezwyčajną ozdobą takiego kołnierza są prześliczne puszyste ogonki zwierzęce, którymi jest zakończony.

Bardzo gustowny jest kapelusik, przedstawiony na rycinie Nr 9, z „violet“ aksamitu. Pukle podszyte drucikiem rondko spuszczone z boku i przybrane sześcioma piórami strusimi do cieniu, ułożonemi w rozetę. Na rondku i na niskiej główce udrapowane piękne pukle z aksamitu.

Suknia z zakieciem.

Rycina Nr 12.

Na tualetę spacerową w angielskim guście bardzo jest stosowny ciemny szewiot, lub lekkie sukienko. Spódniczka z tyłu ułożona w 2 fałdy i zapięta na guziczki, ma przód wstawiony aksamitny, u góry węższy, ku dołowi rozszerzający się, ozdobiony trzema dużymi z perłowej masy guzikami. Prócz tego zdobi spódniczkę i staniczek wyszycie z mohairowego sutaszu. Staniczek z tyłu zaokrąglony, z przodu w dwa zęby wycięty; wyłogi aksamitne z trzema pentlicami z jedwabnego sznura, ozdobione guzikami. Kamizelec z żółtej materii, układana w zakładeczki. Kołnierz jeden stojący z materiału, drugi aksamitny, nieco odwinięty. Wązkie, skromne rękawy, dopełniają harmonijnej całości. Kapelusik fantazyjny, aksamitny, pięknie przybrany strusimi piórami. Rondo z prawej strony podpięte piórem.

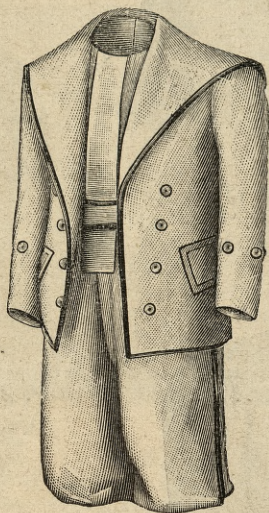
Ubranie wizytowe.

Rycina Nr 13.

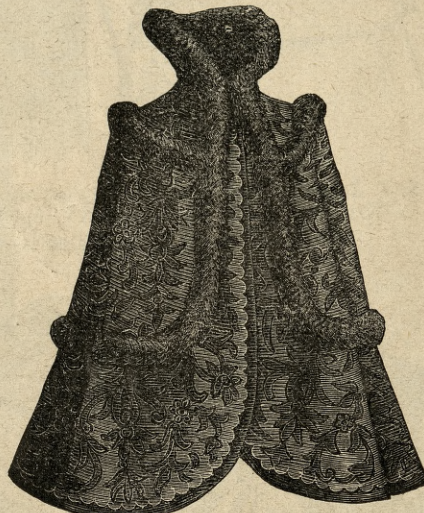
Bardzo gustowne, eleganckie ubranie z kremowej gipiury, ułożonej swobodnie na białej, jedwab-



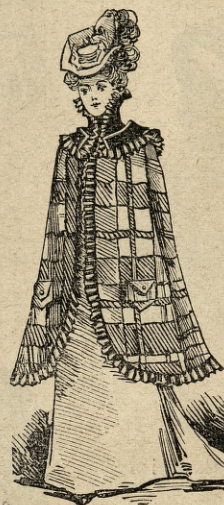
Nr 14. Płócienna serweta.
(Wzór pierwsza strona tablicy fig. 61).



Nr 16. Ubranie dla chłopca od 4—5 lat.
(Kroj pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 50—58).



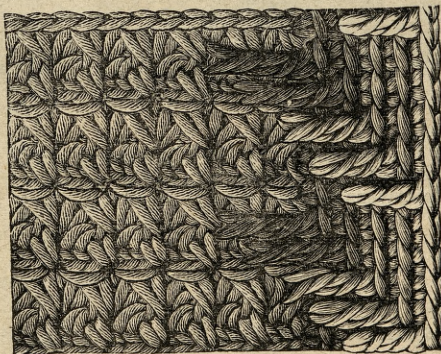
Nr 17. Peleryna zimowa dla starszej osoby.
(Kroj odwr. strona tablicy Nr XIII, fig. 107—113).



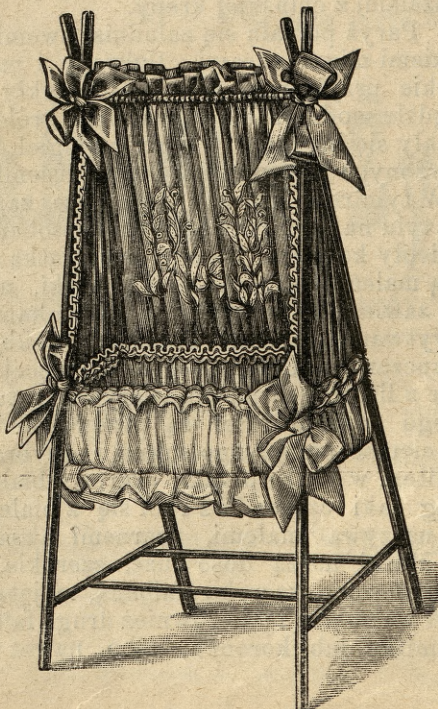
Szkic a do ryciny Nr 26.



Nr 19. Ubranie wizytowe.



Nr 15. Część wzoru do roboty szydełkowej do ryciny Nr 23.
Wielkość oryginalna.



Nr 18. Neseser do robótek w angielskim guście
(Wzór pierwsza strona tablicy fig. 62).

nej podszewce; spodnia spódniczka, obszyta dwiema falbankami z białej, jedwabnej gazy. Staniczek z kamizelką z gazy, ugarniowaną wstążeczkami. Rękawy przy ręku wykończone gazą. Takie same ubranie z czarnej koronki jest bardzo odpowiednie dla osób starszych.

Płócienna serweta.

Rycina Nr 14. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 61).

Serweta z angielskiego, niebieskiego płótna ma długości 93 cent., szerokości 68 cent.; szlak 4 cent., wymiar może być powiększony, lub zmniejszony, stosownie do potrzeby. Haftowany deseń przedstawia prześliczne, wijące się gałązki poziomek z kwiateczkami i owocami. Do haftu należy użyć dobrze dobranych kolorów i cieniów jedwabiu: biały, złoto-żółty, jasno-zielony, ciemniejszy zielony, jasno-ponosowy i ciemny ponosowy; haft wykonywa się płaskim ścięciem. Powyższa serweta starannie wykończona wygląda bardzo ozdobnie, może być użyta do kawy, czekolady i t. p. podwieczorków.

Ubranie wizytowe.

Rycina Nr 19.

Wielkim powabem odznacza się ubranie z krepki malwowego koloru, na podszewce jedwabnej tegoż koloru. Całe ubranie zdobią bogato ażurowe czarne zęby, które przód sukni u dołu szeroko przybierają, ku stanowi zwyżają się, a naokoło spódniczki tworzą rodzaj falbany. Staniczek otwarty, wycięty w zęby z podłożoną kamizelką z gazy, zdobią zęby i trzy aksamitne pentlice, spięte klamerką. Rękawy długie, całe pokryte ażurowymi zębami i garniturek na szyję z trzech aksamitek, spiętych klamerką, uzupełniają tę gustowną tualetę.

Haftowany parawanik.

Rycina Nr 20.

Przedstawiony parawanik na 150 ctm. wysoki, stanowi praktyczną ozdobę eleganckiego mieszkania. Ramy 7 cent. szer., oklejone ciemno-zielonym, jedwabnym pluszem, mają u góry na dwóch rogach ozdoby brązowe. Ścianki są ze zgniło-zielonej, jedwabnej materii; odwrotne strony z ciemnej satyny. Bardzo efektownie i oryginalnie wygląda wyszyty niewidocznym ścięciem złotym sznureczkiem, na każdej ścianie parawaniku oddzielny obrazek.

Poduszka na kanapę.

Rycina Nr 23 i 15.

Delikatnem dobraniem kolorów i łatwym szydełkowym ścięciem, odznacza się poduszcze, przedsta-



Nr 20. Parawanik haftowany.

wiona na ryc. Nr 23. Kształtu jest podobnego, po obu końcach ściągnięta w pentlicę i zakończona rozetami. Szlaki zrobione z niebieskawego koloru włóczki, a tło ze złoto-żółtej filozeli.

Sukieneczka dla dziewczynki od 1—2 lat.

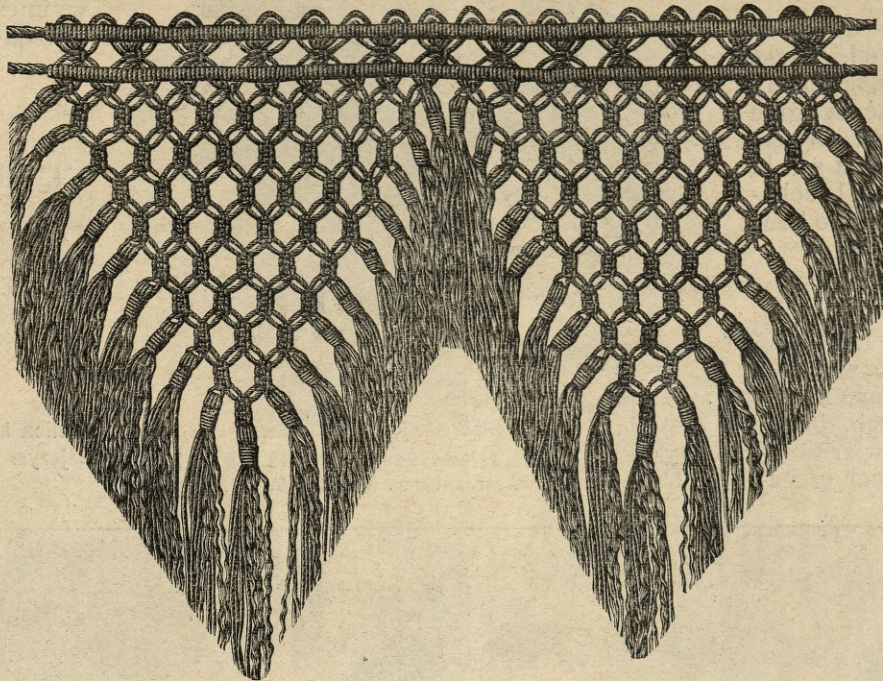
Rycina Nr 25.

Sliczna, z różowego fularu haftowana sukieneczka formą „empire”, jest z tyłu zapinana. Karczek, obszty szlaczkiem i obwiedziony falbaneczką, taki sam szlaczek przy kołnierzyczku; nad rękawkami są małe epoletki. Małe bufki, ściągnięte na wążką wstążeczkę, tworzą rękawki. Spódniczka u dołu przybrana zakładkami.

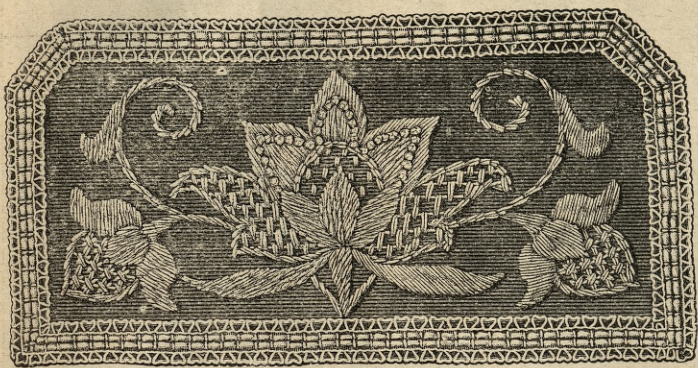
Peleryna z materiału „double-face.”

Rycina Nr 26. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 102—106).

Bardzo praktyczna i ciepła peleryna z materiału „double face;” wierzch



Nr 21. Szydełkowa frendzelka do damskiej garderoby.



Nr 22. Część haftu do ryciny Nr 11 w Bl. Nr 40. (2/3 wielkości oryginalnej).

granatowy, pod spodem krata czarna, czerwona i zielona, jak to widzimy na podanym rysunku. Tył peleryny ułożony w szeroką kontrafałdę, przód zupełnie gładki ozdabiają po bokach kieszonki z patkami. Wysoki kołnierz, kapiszon (kaptur), oraz cała peleryna wokół ugarniowana falbanką 4 cent. szeroką, ułożoną w drobne kontrafałdy.

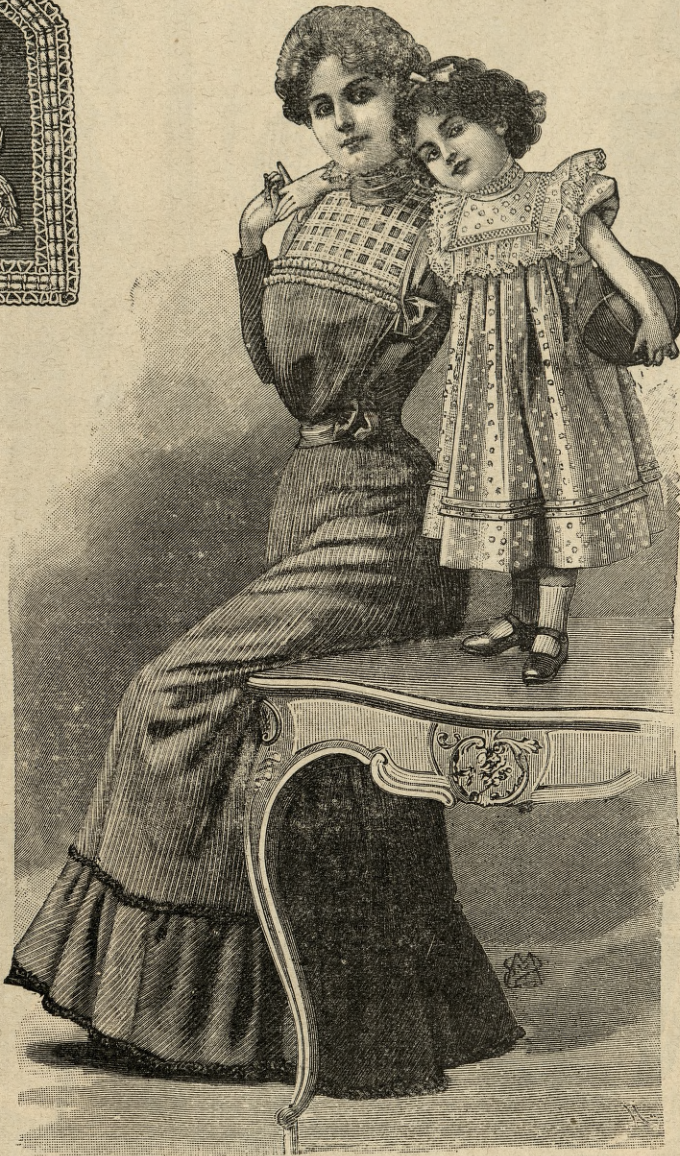
Kapelusze dla dziewczynek.

Rycina Nr 29 i 30. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 59 i 60).

Rycina Nr 29 przedstawia kapelusz fantazyjny. Rondo wykrawa się z twardego muslinu i obszywa drutem, wierzchnia strona pokryta jest czarnym aksamitem, spodnią—różową „tafetą”, pokrytą lekko udrapowanym, jedwabnym muslinem, który naokoło rondka tworzy potrójny nagłówek. Rondko kapelusza z przodu jest wygięte i ozdobione przepięciem z różowej



Nr 26. Peleryna z materiału „double-face.” (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 102—106).



Nr 24. Sukienka dla panienki od 13—16 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 80 do 90).

Nr 25. Sukienka dla dziewczynki od 1—2 lat.

wstążki, takąż samą wstążką jest opasany kapelusz, upięty w wysokie puki. Kapelusz wiąże się z przodu na szarfę z muslinu.

Kapelusik z brązowego filcu przedstawia ryc. Nr 30. Główka formy cylinderka, ubrana tegoż koloru aksamitem, który z boku spada w formie rogu. Na przodzie wysoko upięta rozeta z żółtej, jedwabnej materii, w środku przepięta klamrą.

Ubranie balowe i płaszcz futrzany.

Rycina Nr 31.

Strojne ubranie z różowej „crêpe de chine,” przybrana jedwabnym haftem, plisowana, jedwabną gazą, na jedwabnej podszewce. Długa, na bo-

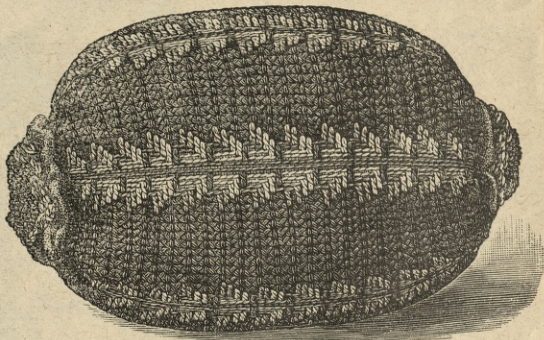
ku wycięta tiunika, ogarniowana haftem, u dołu z pod tiuniki, widoczna jest plisowana, z jedwabnej gazy falbana. Staniczek głęboko wycięty, bez rękawów, na boku zapina się na guziczki, naokoło obszty falbaną z haftowanej „crêpe de chine.”

Wieczorowy płaszcz z ponsonowego kaszmiru, z tyłu ma głęboką, podwójną fałdę „à vateau,” wysoki kołnierz, wyłogi i obłożenie naokoło są ze skunksów, podszewka z ładnych popielic.

Ubranie balowe i płaszcz wieczorowy.

Rycina Nr 34.

Szeroka falbana z koronkowych zębów otacza z tyłu zapinaną su-



Nr 23. Poduszka na kanapę szydełkową robotą. (do ryciny Nr 15).

knę formą „princesse” z lila jedwabnej moiry. Staniczek wycięty w formie gorsecika. Brzeg staniczka ostro zakończony u góry, ogarniowany aksamitką, ułożoną w dwie pentlice. Górna część staniczka głęboko wyciętego w „caro” z przodu, a okrągło z tyłu, wykonana jest z karbowanych zębów, które u brzegów naszyte są rolkami z gazy; takie same rolki zdobią falbanę u dołu sukni.

Wielką elegancją odznacza się płaszcz z materii w deseń, na atlasowej podszewce, ogarniowany naokoło w drobne karby układaną gazą, która tworzy wysoki kołnierz i garniruje też pelerynę. Rozety z klamrami w pośrodku uzupełniają ten strojny płaszcz.



Nr 27. Suknia z bluzką. (Krój pierwsza strona tablicy).

Nr 28. Suknia angielska. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 91—201).

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

LEGUMINA Z WINOGRON.

Funt nie zupełnie dojrzałych jagód, obrać z gronek, wypłukać, włożyć w syrop, zrobiony z 3-ch ćwierci funta cukru, potrzymać na ogniu 20 minut, często rondlem potrząsając, aby się równo usmażyły, a następnie wylać na płaski półmisek, nałożony biszkopcikami, lub kruchemi ciasteczkami, niemi też obłożyć wokoło konfiturę i wydać na stół.

MAKARON PO NEAPOLITAŃSKU.

Funt grubego włoskiego makaronu ugotować w wodzie z solą i odcedzić. Włożyć w rondel ćwierć funta masła, zasmażyć i włożyć makaron. Dodać trzy łyżki przygotowanych, duszonych i przefasowanych pomidorów, ćwierć funta tartego parmezanu, kilka pokrajanych w ma-

śle duszonych pieczarek, kilka krajanych i ugotowanych trufl. Wszystko to na ogniu szybko wymieszać z makaronem, tak, aby się nie zgotowało i natychmiast gorące wydać na stół.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół ze słodką kapustą.
2. Ryba w majonezie.
3. Rydze duszone.
4. Kotlety baranie z sosem à la Soubise.
5. Zając z kompotem.
6. Krem z jabłek.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”



B

Nr 29. Kapelusze dla dziewczynek od 11—12 i od 8—9 lat.
(Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 59 i 60).



Nr 31. Ubranie balowe i płaszcz futrzany.

Nr 32. Suknia formą „princesse.”
(Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 63—71).

Nr 33. Sukienka dla dziewczynki od 8—9 lat.
(Krój pierwsza strona tablicy).

Nr 34. Suknia wieczorowa i płaszcz wieczorowy.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry watawane, flanelowe i pluszowe. Wyroby pończosnicze, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.